



Grey Scale #13



DANES-PICTA .COM

A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





WŁ. M. KOZŁOWSKI.

---

MANFRED,  
HR. HENRYK  
i PŁOSZOWSKI

JAKO PRZEDSTAWICIELE TRZECH POKOLEŃ  
XIX STULECIA.

STUDYUM Z PSYCHOLOGII SPOŁECZNEJ.

nr 1587

---

WARSZAWA.

Druk Jana Cotty, Senatorska 29.

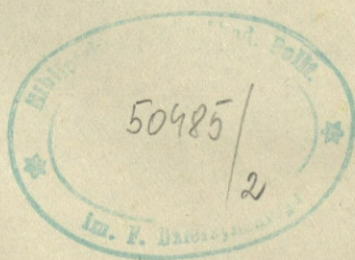
1896.

884

Дозволено Цензурою.

Варшава, 11 Марта 1896 г.

L. 449



---

Qd czasu do czasu jakiś geniusz poetycki rzuca na papier postać, która, urągając biegowi wieków, zostaje wiecznie młodą, zawsze bliską sercu czytelnika, chociaż cały szereg pokoleń przejdzie nad nią, chociaż zmieniają się warunki życia, instytucye, zwyczaje. Do takich postaci zaliczamy Fausta i Don Juana, Hamleta i Gustawa (z Dziadów), Manfreda i hr. Henryka z Nieboskiej, Wertera i Płoszowskiego.

Co unieśmiertelnia te utwory? Co nadaje ich postaciom żywotność? Dlaczego typy te nazywamy ogólnie ludzkiemi?

Bo każdy z nich odbija w sobie pewną stronę natury naszój, każdy jest odzwierciedleniem owój „czystej treści człowieka”, która zostaje niezmienną wśród przemian ukształtowania zewnętrznego, żywioł trwały, ponad którym znamiona czasu przebiegają jak fale toczące się na powierzchni oceanu, nie mącąc jego głębi.

Ale po za tą stroną trwałą charakteru, postaci poetyckie mają jeszcze inne znaczenie: każda epoka ma swój typ przeważny, gdyż warunki historyczne sprzyjają rozwojowi téj lub innój strony natury ludzkiej i w tém znaczeniu prawie każdy typ poetycki jest charakterystyczny dla jakiejś chwili dziejowój, jest przedstawicielem pewnego pokolenia.

Faust szkicowy, Faust podania ludowego mógł powstać w XVI stuleciu — wieku rozpoczynającój się oświaty, ale skończoną postacią

poetycką, stał się na schyłku XVIII wieku, kiedy dzieło oświaty doprowadzone zostało do szczytu.

Aby typ wieczny nie został czystą abstrakcją, aby idea wcieliła się w postać żywą, niby z krwi i ciała urobioną, powinna przybrać piękno pewnej epoki i pewnego miejsca, zostać historycznie i geograficznie określoną. Forma, w którą się wylewa postać poetycka, odmienna jest w każdej dobie dziejowej i zależna od warunków historycznych.

Każda więc większa postać poetycka jest dwoistą <sup>1)</sup>. Estetyka-psychologa zajmuje przeważnie pierwsza, wieczna i ogólnie ludzka strona tych postaci; historyk-filozof, śledzący rodowód dziejowy pewnego typu, powinien skupić uwagę na cechach, które dla psychologa są podrzędnymi i przypadkowymi.

W jakim znaczeniu mamy jednak prawo mówić o rodowodzie typu poetyckiego?

Jak syn dziedziczący po ojcu pewne cechy przyrodnicze, pewne zdolności i usposobienia, może jednak daleko odbiedz od niego pod wpływem zasobów myśli i przekonań wyrobionych w odmiennych warunkach życia, w innej dobie dziejowej, tak jednakowy skład charakteru może wydać w rozmaitych epokach typy tak niepodobne do siebie, że trzeba długo i uważnie im się przyglądać, aby dostrzedz wspól-

---

<sup>1)</sup> Niezrozumieniem tego dwoistego charakteru każdej większej kreacji poetyckiej grzeszy większość prób reformatorstwa w dziedzinie krytyki. Autor jednej z niedawno wydanych historii literatury (Posnett. *Comparative literature* London, 1886), przenoszący do literatury metodę porównawczą językoznawstwa, której próbę zastosowania do historii uczynił już Freemann (*Comparative politics*), co bynajmniej nie wymaga zaprzeczenia krytyki literackiej w dzisiejszem znaczeniu słowa, robi jednak szereg najniesłuszniejszych a często nielogicznych zarzutów przeciw powszechnie przyjętemu sposobowi pojmowania utworów poetyckich. Zarzuty te opierają się głównie na owiej dwoistości, przedstawianej jako sprzeczność i wziętej za kamień węgielny planów reformatorskich. Zapomina przytém autor, że chociaż każdy normalny człowiek ma w sobie coś z Faustowskich pragnień wiedzy i Don Juaniskiej żądzy użycia, coś z refleksyi Hamleta i wyrzutów Manfreda, jednak warunki danej epoki mogą sprzyjać temu, że ta właśnie a nie inna cecha urośnie do idealnej potęgi, stanie się przeważną, a w ten sposób typ nie przestając być ogólnie ludzkim i wiecznym, staje się jednak postacią charakterystyczną dla pewnej epoki i pewnego społeczeństwa. Krytyka ze stanowiska filozoficznie dziejowego, nie czyni zbyteczną krytyki psychologicznej, lecz ją uzupełnia, a żadna z nich nie przeszkadza studjom porównawczym nad literaturą. Gdyby prawdą były twierdzenia Posnetta, nikt dziś nie mógłby rozumieć piękności nie tylko Homera, ale i Szekspira.

ność zasadniczego tła psychologicznego. Jeśli zaś obok téj wspólnej podstawy psychologicznej, której zbadanie stanowi przedmiot zwykłej krytyki, wykryjemy w dwóch typach różnice, ściśle odpowiadające różnicom warunków dziejowych, w jakich żyły po sobie pokolenia, do których typy te należą; jeśli potrafimy wykazać związek rysów charakterystycznych każdej postaci z ideowemi, obyczajowemi i innymi czynnikami, oddziaływającymi na jój rozwój, to możemy mówić o genezie czyli rodowodzie typów; rzecz tak się przedstawia, jakby jeden rozwinął się z drugiego, przyczém naturalnie rozwój nie zawsze bywa postępem.

Jeśli teraz zestawimy z sobą cechy psychologiczne kilku wymienionych wyżej wiecznych typów, zauważymy w nich wiele rysów pokrewnych; bo każda z tych postaci obdarzona jest właściwościami najbardziej nadającemi się do tego, ażeby z niéj utworzyć postać typową swego czasu.

Cóż to jest postać typowa? Jest nią ta, która odbija i koncentruje w sobie dążności i pragnienia danej epoki, silne i słabe strony pewnego pokolenia, odzwierciedla jego charakter moralny, doprowadzając pojedyncze rysy do największego wykończenia. Do takiej roli nadaje się natura wrażliwa i złożona, możliwie wszechstronna, w której żadna z władz ducha nie ma stanowczej przewagi nad innemi. Jednostka typowa czuje żywo a niekiedy i głęboko, ale nie jest odruchowo czynna, bo posiada umysł analizujący i refleksyjny; nie jest téż wyłącznie rozumową, bo ma wszechstronnie rozwiniętą uczuciowość. Zdolna do wszelakich uniesień, nigdy nie staje się wyłącznym fanatykiem jakiegokolwiek jednej idei. Nie jest ona twórczą; nie należy do tych przodowników ludzkości, którzy torują nowe drogi, ale ma wysoko rozwinięte poczucie ideału i potrzebę przeniesienia go do życia.

Jednostka typowa nie jest ani wyłącznym bohaterem czynu, który raz wytknąwszy drogę, idzie pewnym krokiem ku zamierzonemu celowi, jak Fortinbras w „Hamlecie”, ani wyłącznym maniakiem myśli, zapominającym o świecie, jakim przedstawia Archimedes podanie o jego śmierci; nie jest człowiekiem, którego by naraz i całkowicie ogarnąć mogła jakaś namiętność, jak Romeo lub Otello.

Te natury są zbyt proste, zbyt jednostronne. Jednostka typowa może jednak zostać i bohaterem czynu, jak Hrabia Henryk w Niebo-skiej i bohaterem myśli, jak Faust, może dać się unieść namiętnościom, jak Don Juan, lub paść jój ofiarą, jak Werter, może się wzbiec na szczyty poświęcenia, jak Konrad lub Posa, albo zostawać w odrętwieniu niezdecydowania, jak Hamlet, — ale we wszystkich tych przemianach zachowa swój charakter zasadniczy — umysłu filozoficznego

i duszy wszechludzkiej. Jest to jakby złożony i bardzo dokładny instrument muzyczny, który może oddać zarówno heroiczną symfonię i pieśń pasterską; cichą modlitwę i zgrzytające bluźnierstwo rozpacz, bo nie brak tu żadnego klawisza, żadnego dźwięku z bogatej gamy duszy ludzkiej.

Oczywiście, że typ taki nie tylko może być najdokładniejszym wyrazicielem idei dziejowej każdej epoki, ale i doprowadza tę ideę do największego wykończenia, do wszechstronnego, wszechludzkiego rozwoju, do subtelnej pojęcia oddania wszystkich szczegółów odcieni i konsekwencji. Dlatego też postać taka jest ulubionym przedmiotem poetów myślicieli i krytyków filozofów.

## I.

Trzy postaci wymienione wyżej, jako przedstawiciele pokoleń naszego stulecia, mają wszystkie cechy jednostek typowych. Łączy je przytęm wspólna wszystkim trzem potrzeba wzniesienia się ponad rzeczywistość, połączona z silnym poczuciem swojej wyższości. Są oni przedstawicielami tego, co Schiller nazwał „szlachectwem ducha”, a co w wieku Płoszowskiego przybiera postać „arystokracji duchowej.”

Najbardziej jednak charakterystyczną ich cechą wspólną, jest owo zlanie w jedno dziedziny poezji z zakresem rzeczywistości, będące wynikiem potrzeby konsekwencji w wewnętrznych i zewnętrznych objawach i formach życia, cechującej wogóle jednostkę typową.

Poezja, dziedzina piękna, jest pośredniczką pomiędzy zakresem rzeczywistości a sferą ideału; pomiędzy prawdą wiedzy a prawdą wiary i serca. Jest to jakby terytorium neutralne, na które wolno jest robić wycieczki zastępom jednego i drugiego państwa, bez niebezpieczeństwa narażenia się na głębsze starcie. Jest ona zarazem i ucieczką ducha, pasem granicznym, na którym chroni się umysł ścigany w jednym z tych zakresów. W poezji szukamy schronienia od rzeczywistości zbyt bolesnej lub przygnębiającej, zbyt szarej i bezbarwnej; w poezji wylewamy te pragnienia serca, te popędy idealne, których nie możemy wcielić w czyn.

Każdy człowiek przeciętny, „zdrowy”, t. j. nie szaleniec, nie geniusz, ani bohater, ma te trzy terytoria rozdzielone w swoim umyśle. Największe tam miejsce zwykle zajmuje terytorium rzeczywistości, a pragnienia ideału zaspakają większość na owym pasie obojętnym, pamiętając dobrze, jakie prawa mu tam służą. Człowiek „rozsądny”

wieć, że życie nie jest poezją, a poezya nie jest życiem. Rozczula się czytając o urojonych cierpieniach bohaterów powieści, zachwyca się ich heroicznym zaparciem się siebie, uwielbia czyny poświęcenia, co mu nie przeszkadza odwrócić się od rzeczywistych cierpień i nędzy, gdy je napotka w życiu, lub wzruszać pogardliwie ramionami na widok poświęcenia i z uśmiechem politowania patrzeć na tych szaleńców, którzy marzą o przerobieniu świata i uszczęśliwieniu ludzkości. Swoją drogą po dobrym obiedzie chętnie bierze do ręki czulą powieść i wylęwa łzy nad niedolą ludzką. Dziedzina marzeń i dziedzina czynu są tu zupełnie oddzielone od siebie; jedno nie ma wspólnego z drugim. Pas graniczny strzeżony jest dobrze i żadne przemysłnictwo tu niemożliwe.

Ale są umysły, w których granica ta zaciera się. Terytorium obojętne znika, dziedzina rzeczywistości i dziedzina marzeń stykają się i zlewają na swoich kresach...

Stan ten umysłu przeżywają wszystkie lepsze jednostki w wieku młodocianym, kiedy rzeczywistość i marzenia splatają się w jedno uroczne pasmo. Ale większość onych rychło leczy się z tej choroby młodości: życie robi je praktycznymi; to znaczy, że ci nawróceni wcześniej wbijają słupy graniczne pomiędzy obu terytoriami i stawiają żandarmów na straży od własnych „złudzeń.”

Mniejszość jednak zostaje przez całe życie „niepraktyczną.” Są to ludzie, którzy nie będąc poetami, mają naturę poetów. Weźcie organizację duchową poety, a odbierzcie mu geniusz twórczy, zdolność zadowolenia tej potrzeby przez wecielenie ideałów swych w dziełach sztuki; zdolność zlewania rzeczywistości z ideałem przy pomocy marmuru, płótna, pióra lub dźwięków i w ten sposób spełnienia powołania swego; odbierzcie mu umiejętność oderwania od siebie swoich pragnień i cierpień, swego bólu wszechświatowego a przelewania go w wymyślone postaci poezji, a otrzymacie ów typ. Poryw ku ideałowi, który u prawdziwego poety lub artysty, znajduje ujście w dziele sztuki, tu szuka pola w życiu i dla tego, gdy pierwszy może być po za chwilami twórczości najpospolitszym filistrem o dobrze strzeżonym pasie granicznym, drugi nawet w upadku swoim zachowa cechy wyższości, które pociągają nas ku niemu, a przynajmniej budzą żywe zajęcie.

Stosownie do warunków dziejowych, do oddziaływań psychologicznych, do wrodzonego lub nabytego hartu ducha, jednostka taka może zostać bohaterem lub pseudo-estetykiem, szlachetnym marzycielem, utopistą lub bezcelowo wlokącym życie sybarytą duchowym.

Jeżeli jednostka, o której mowa ma oprócz organizacji poety i geniusz twórczy, zostaje jednym z tych sztukmistrzów, którzy wywierają potężny wpływ i elektryzują całe pokolenia, zostaje Michałem Aniołem, Byronem lub Mickiewiczem, jeśli ma potężną wolę i geniusz czynu lub gotowość do ofiar i poświęcenia się, zostaje bohaterem lub apostołem, jak Savonarola. Heroiczne porywy nie znajdujące ujścia w czynie dziejowym, wcielają się często w poezyi, gdyż poezya jest heroizmem myśli, a owocem jęj — bohaterstwo czynu. Jeżeli siła woli jednostki jest mniejsza niż geniusz twórczy, jeżeli okoliczności dziejowe są takie, że ta siła nie zdoła ich przełamać, bohater czynu staje się bohaterem pieśni.

W życiu każdego prawie z wielkich poetów znajdujemy chwilę, kiedy świat ideału porywał go w dziedzinę czynu; lecz gdy przeszkody łamały ich wolę, gdy czuli niemoc swoją do wcielenia w życie ideału, a jednocześnie przemawiało w nich poczucie mocy duchowej, zdolności oddziaływania na serca ludzkie, przetapiali w pieśń te porywy, w kształty piękne zaklinali ideały swoje, aby czyste i promienne z tych niedościgłych wyżyn oświećlały ludzkości drogę postępu.

Jak zaklęta królowna bajki, śpiąca w swoim kryształowym pałacu, tak zachowują świeżość i młodość owe wielkie idee, ujęte w czar pieśni... A gdy przyjdzie chwila dziejowa i rycerz czynu rozbudzi ze snu drzemiącą myśl piękna, rozbije osłaniający ją czar poezyi — staje się ona znowu bohaterskim czynem.

Wtedy piękny sen królowny staje się rzeczywistością dziejową.

Tak niedoszły heroizm poetów przechowuje się w skarbnicy ducha, jak stary oręż w zbrojowni, aby kiedyś inne pokolenie wyciągnęło go na światło boże.

Ale prócz wielkiej idei, poezya wymaga pięknej formy. Jeśli obok idealnych porywów nie posiada jednostka téj władzy nad formą, któraby pozwoliła je wcielić w kształty piękne, a warunki dziejowe lub psychologiczne nie dopuszczają jęj ujawnienia w życiu, człowiek zostaje w wiecznym rozbracie z sobą.

Przeciwnie, gdy warunki te wytwarzają atmosferę nieprzyjazną wszelkim ideałom, a obdarzona pocuciem poetyckim jednostka, nie jest w stanie wznieść się nad nie i porwać za sobą rzeczywistość, — zostaje jęj z poezyi sama tylko piękna szata; chce więc ją przenieść do życia, bo jako jednostka typowa musi mieć poezycę w życiu, a z poezyi tylko forma mu została. Staje się więc pseudo-estetykiem.

Dlaczego pseudo-estetykiem?

Bo z dwóch żywiołów składających się na poezycę: idealnej treści i pięknej formy, [pierwsza tylko może i powinna być przeniesioną do

życia; druga jest chwilową szatą idei, dobrą i właściwą, dopóki idea ta jest jeszcze w dziedzinie piękna, w kraju ideałów. Ktokolwiek w ideałach poezji widzi tylko próżne marzenie, nieświadom jest prawdziwego doniosłego jej znaczenia; z potęgi dziejowej czyni modny strój, rozrywkę i zabawę chwilową, lecz kto chce do życia przenieść jej estetyczną stronę, zapoznaje tę prostą prawdę, że dziedziną piękna jest zakres swobody, pole, na którym twórczość nie jest niczem ograniczona; że naginając formę poetycką do rzeczywistości, zacieramy idealne rysy piękna surową ręką konieczności. Estetyczność jest prawdą tylko w poezji; przeniesiona do życia przestaje przedewszystkiem być pięknem; zostaje tylko źródłem sybarytyzmu — staje się pseudo-estetyką. Rzeczywistość ma swoją piękność, inną niż piękność poezji, tak jak poezja natury różni się od piękna sztuki. Cechą tej ostatniej jest świąteczność; cechą życia — powszedniość. Życie nie może być ciągle świętem, bo ta odświętność stała by się najgorszym rodzajem powszedniości. Pseudo-estetyk chce z życia zrobić nieustającą zabawę zamiast tego, żeby znaleźć poezję w codziennych jego trudach; zapomina, że strój świąteczny piękny jest, gdy się wkłada w wyjątkowych okolicznościach, ale że z pracą codzienną lepiej harmonizuje bluza robocza, niż ufryzowana głowa i świetny ubiór balowy.

Z wymienionych trzech typów, Manfred i hr. Henryk, są ludźmi porywającymi się do czynu, Płoszowski — pozbawionym energii pseudo-estetykiem. Co spowodowało tę różnicę?

Odpowiedź na to da nam rzut oka na warunki dziejowe, w których urosły trzy pokolenia naszego stulecia.

## II.

Wiek XVIII postawił jednostkę na szczycie dziejów, a straszna burza polityczno-społeczna, która przeleciała nad Francją w końcu tego stulecia, napełniając swoim odgłosem i wstrząsając całą Europę, zmiotła wszystko, co stało na przeszkodzie wszechstronnemu rozwojowi osobnika w zakresie myśli i czynu, wierzeń i przekonań.

Wszystkie prądy w wieku XVIII-ym zjednoczyły się dla osiągnięcia tego ostatecznego celu; wszystkie wysiłki skierowane ku jednemu punktowi.

Ale wiek XIX-ty jest wiekiem rozbratu we wszystkich niemal sferach życia historycznego. Forma tu jest w niezgodzie z treścią, myśl z czynem, geniusz z tłumem.

Pierwszym rozdźwiękiem jest sprzeczność między zasadą bezwzględnej swobody jednostki, a wolnością taką, jak ją rozumiał wiek oświaty. Krańcowy jego indywidualizm wystrzela taką potężną jednostką, jaką był Napoleon, przez chwilę narzucający wolę swoją całej Europie, deprecjując zasady, z których sam powstał, aby upaść również raptownie, jak się wyniósł.

Ten meteoryczny przebieg geniusza wojny, musiał oddziaływać na wyobraźnię współczesnych i następnych pokoleń. Na osobie Napoleona skupiły się uwielbienia poetów, chociażby pochodzących z wrogich mu narodów, jak Byron i Heine, którego „Ideje”<sup>1)</sup> i „Grenadyerowie” należą do ostatnich odgłosów czci dla tego człowieka, wielającego ideał potężnej indywidualności. Również i nienawiść ludzi oddanych idei wolności, a nie zaślepionych fałszywą deklamacją, ściagała tego kapłana wojny, składającego ludzkie hekatombę na jej ołtarzu.

Kiedy na polu politycznym przykład Napoleona, zdawało się, stwierdzał paradoks, że krańcowa wolność prowadzi do despotyzmu, to znowuż w dziedzinie myśli, uczuć i wierzeń dążności ducha, stłumione dotąd przez wyłączność racjonalizmu wieku oświaty, domagają się obecnie praw swoich, wytwarzając reakcyę przeciwko filozofii oświaty.

Wiara w potęgę ducha, która dała hasło do wyzwolenia jednostki, wiara stanowiąca cechę znamionną wszystkich objawów myśli i czynu XVIII stulecia, gdy dała raz uczuć człowiekowi moc skrzydeł swoich, porywała go do lotu i kazała szukać jakichś olbrzymich zadań, do spełniania wzniosłych czynów, wielkich poświęceń, niedościgłych ideałów. Poryw ten wzmaga się pod wpływem hasła bezgranicznej swobody serca, hasła odziedziczonego po „uczuciowej filozofii” XVIII stulecia i poezji, okresu burz i zapędów, ale natrafia na płytką, pozabawioną wyższych motywów rzeczywistość filistersko-mieszczańskiego życia, płynącego za prądem reakcyi.

Ów rozbrat między ideałem a rzeczywistością, powoduje inny, między geniuszami a tłumem. Ludzie poczuwający się do jakiegokolwiek wyższości duchowej — a nigdy choroba genialności nie była tak rozpowszechniona, jak w owym czasie — z pogardą odwracają się od ogółu, grzebiącego się w mrowisku drobnomieszczańskich interesów i dążności, zamykają się w swojej samotnej dumie, lub szukają sztucznych warunków dla zastosowania swoich wyższych, często urojonych zasobów duchowych. Tak powstają owi bohaterowie Chateaubrianda, uciekający w pustynie krajów dziewiczych Ameryki, dokąd

---

<sup>1)</sup> Po polsku pod niewłaściwą nazwą „Dobosz Legrand.”

ich pociąga prostota, szczerłość i wyższa etyka ludów nieucywiliżowanych, lub postaci z powieści pani Krüdener, odwracające się od życia, aby bujać w mglistych błękitach wyszukanych uczuć:

Co dzień z pamiętką nudnych postaci i zdarzeń  
Wracać do samotności, do książek i marzeń...

(*Dziady*).

Daje się tu dostrzedz nowy rodzaj rozdźwięku — między treścią a formą. Duch czuje porywy do wielkich czynów, czuje moc ich wykonania, posiada słowem wszelkie warunki formalne, ale nie może znaleźć treści, którą by wlał w ową wielką formę i zamiast jęj szukać w rzeczywistém otaczającym go życiu, unosi się gdzieś w krainy obce i dalekie, albo trawi swoje wnętrze tą siłą, któraby mogła pójść na korzyść ludziom.

Rozbrat ten wzmacnia rozdwojenie między myślą a czynem, między filozofią a życiem polityczném i społeczném.

Jako reakcyja przeciw niepłodnemu dla dziedziny czynu materjalizmowi, występuje idealizm filozoficzny i doktryna o pierwszeństwie woli. Przez chwilę zdawało się, że płodna myśl Kanta stanie się u Fichtego tém, czém mogła być; że usunie dualizm pomiędzy myślą naukową a czynem, dając uzasadnione przez krytykę władz umysłowych podstawy do zastosowania zasad, kierujących poznaniem i wolą. Ale ciasne formy życia państwowego i społecznego Niemiec, nie dopuściły do prawidłowego rozwoju myśli rzuconej przez wielkiego idealistę. Filozofia, która urosła z jęgo posiewu, nietylko okazała się równie jak i materjalizm bezowocną dla życia, lecz oddała się na usługi reakcyi politycznej i doszła do uświęcenia rzeczywistości. Fatalizm dyalektyczny Hegla zbiegł się w tym punkcie z determinizmem materjalistów, a „Zamknięte państwo handlowe” Fichtego, streszczające w sobie zagadnienie wieku i wykazujące drogę ku jęgo rozwiązaniu, pozostało bez żadnego wpływu przez całe stulecie.

Z tego chaosu sprzeczności nie może się wydobyć na jaw myśl dziejowa wieku, ta idea społeczna, która jedyna potrafiłaby zogniskować wszystkie usiłowania i popchnąć ludzkość drogą postępu, jak uczyniła to idea indywidualizmu w XVIII wieku.

Całe stulecie upływa na bezowocnych wysiłkach dziejów, ku stworzeniu czegoś to przez żywiołowe zapędy mas, to przez utopijne wzloty myślicieli. Inteligencya, stojąca na czele ruchów społecznych, boi się jednych a nie rozumie drugich. Stąd te ciągłe porywy naprzód — niepewne i trwożliwe, te cofania się wstecz zaognione nienawiścią ku nowości, poparte przez wszystkie zwyciężone żywioły minio-

nego stulecia, skupiające wszystkie niedobitki ideowe wielkiej walki filozoficzno-społecznej wieku oświaty.

Pośród tych wahań i fluktuacji, zostaje niejasnym wewnętrzny związek i pokrewieństwo rozmaitych prądów myśli na polu teoretycznym i praktycznym. Przeciwne obozy chwytają się nieraz tegoż samego oręża ideowego, a później ze zdziwieniem widzą, że myśl, pod której sztandarem stanęli, zaprowadzi ich w zupełnie przeciwną, niż chcieli, stronę.

Tak idealizm i materyalizm, romantyzm i naturalizm, religijność i niewiara, utylitaryzm i moralność poświęcenia, ściągają pod hasła swoje raz żywioły postępowe, to znowuż wsteczne; w jednych krajach przyjaciel wolności i braterstwa, w drugich jej wrogów. A zanim wyjaśni się ten związek wewnętrzny, same idee sprzężone w potworne połączenia, jakby żółwie i orły w jednym jarzmie, ulegają spaceniu i tracą swój charakter pierwotny.

W takićj to atmosferze ideowej występują trzy pokolenia naszego stulecia, z temi trudnościami mają się uporać trzy jednostki, które jako typowe, muszą ogniskować w sobie wszystkie dążności wieku. A że wiek jest pełen sprzeczności, nie dziw więc, że i każdego z tych bohaterów szarpia walki i zwątpienia, że każdy z nich ma swoją tragedję wewnętrzną.

### III.

Manfred, zbliżający się pod tym względem do całego szeregu postaci poetyckich z początku naszego stulecia, postaci powstających na wyżej nakreślonym tle dziejowym — to forma, stworzona przez geniusz poetycki, wcześniej niż dojrzała idea mająca ją zapełnić — wielka myśl społeczna naszego stulecia; to naczynie, w które miała się wylać owa idea. Ale idea ta jeszcze nie dojrzała: naczynie zostaje próżne i ta próżnia razi nas jakimś fałszem, jakąś pustką.

Deklamacye Manfreda o wielkich porywach i zamiarach jego młodych lat, brzęczą nam w uszach, jak dźwięk próżnej czary... Nieraz czytelnikowi nasuwa się pytanie: co to za wielkie dary, o których mówi poeta ustami swego bohatera? Czy to nie złudzenie — jego własne i najbliższego otoczenia? Czy to nie objaw ambicyi niewspółmiernej z rzeczywistości zasobami ducha?

Ale „nie sądzmy ludzi według ubogiej rzeczywistości, tego co dokonali...”

O czémże marzył Manfred?

Przyswoić sobie chciałem ducha innych.

I całe ludy oświecić, biedz naprzód —

Niewiedzięć dokąd --

Są to szlachetne marzenia, ale zbyt niejasne i nieokreślone. Dokąd biedz? Z kim walczyć? Tego Manfred nie wie — i tu tkwi źródło tragizmu jego.

Poczucie wyższości swój w Manfredzie i pokrewnych mu bohaterach wieku jest jednak uzasadnione; polega ono na sile pragnień, na wysokości celów, którym chcieliby służyć. Dążą oni do czegoś wielkiego, choć sami nie wiedzą do czego. Niesłuszném byłoby sądzić ich według tego co robią, lecz raczej czego nie robią — bo w istocie nic nie robią. Ale chociaż nieczynni, czują oni całą pierśią, że aspiracye ich wznoszą się o całe niebo po nad troski i interesa, około których krzątają się mrowiska przeciętnych ludzi.

Manfred jest poetą życia, Manfred — to sam Byron, zanim znalazł treść dla swych porywów, treść również sztucznie wymyśloną, jak u bohaterów poetycznych téj epoki. Walka o wolność Grecyi mogła entuzjazmować w owym czasie szlachetne umysły, zwłaszcza tych, którzy, jak Byron, nie umieli się rozglądać zbyt głęboko w konstelacyach politycznych. Cóż dziwnego, że go porwała, jego, który jak Manfred „chciał biedz naprzód”, a nie wiedział dokąd?

Ale czyż przy dobrej chęci nie mógłby znaleźć we własnej ojczyźnie pola do zastosowania swój żądzy czynu? Czy nie miał tam milionów białych murzynów, czyż o wolność i człowiecze stanowisko dla nich nie warto było stoczyć niejednej walki? Tymczasem w epoce, kiedy używał największego powodzenia światowego, kiedy był bożyszczem całego „towarzystwa” angielskiego, zdarzyło się raz, że w kwestyi emancypacyi katolików *vota* za i przeciwko, w izbie parów były prawie równoważne; posłano więc pośpiesznie po Byrona, aby swoim głosem przechylił wahającą się szalę na korzyść sprawy postępu. Wtedy „dość niechętnie”, jak sam przyznaje, „opuścił salę balową dla wyzwolenia pięciu milionów ludzi!”

Nie umiejąc znaleźć pola do działalności, cała ta namiętność czynu, tytaniczne pragnienie odczucia wszystkiego, doznania wszelkich wrażeń, skupia się na własnych osobistych uczuciach i staje się źródłem cierpień dla samego bohatera i jego najbliższych.

Potężna forma geniuszu rozsadza ubogą i szczupłą treść pospolitego życia; jest on dla tego życia nieprzydatny i łamie wszystko, starając się wyrwać z jego więzów, a wielkiój, wszechludzkiej pracy w której mógłby zużyć energię swoją, nie znajduje.

Stąd rozpacz, pesymizm, żal do życia, stanowiący istotę tragizmu Manfreda, bo wrażliwy i głęboko odczuwający, jak poeta, nie może on znaleźć ukojenia w zapomnieniu; do tego w utworze dodaje się wiele właściwego autorowi pozowania na nieszczęśliwego i nie mało buty pański.

„Żem żył, i kochał i myślał, żałuję!” W tém streszcza się cały wynik życia Manfreda, który, chociaż innemi słowy, wyraża on w znanym i często cytowanym monologu:

*We are the fools of time and terror* <sup>1)</sup>...  
*I have ceased To justify my deeds unto myself.*

„Przestałem usprawiedliwiać swoje czyny przed sobą samym”, powiada Manfred. Ale jeśli nie usprawiedliwienie, było przynajmniej możliwem odkupienie.

Mógłby je znaleźć, gdyby mu stanęła była przed oczy wielka idea przyszłości, gdyby mógł powiedzieć o sobie:

Lecz gdy te smutne pomijając dzieje,  
Wzrok ku przyszłości dalekiej obróć,  
W sercu mém święte budzą się nadzieje  
I pieśń tryumfu dla ludzkości nucę...

Ja myślę wtedy o wspaniałej doli,  
Którą dla braci praca ma zgotuje  
Przypływ niezłomnej, wszechpotężnej woli  
Do czynów wielkich i poświęceń czuję.

I marzę szczytnie, że w tej wielkiej dobie  
Szczęście ludzkości wszystkie winy zmaże,  
I wszystkie serca, co były w żałobie,  
Ukoją świętej Radości ołtarze...

Wtedy i moje winy mi przebaczą  
Ci, którym czyny me ciernie wplatały...

Lecznie ma jęj, tej wielkiej idei odkupienia... W daremnych poszukiwaniach za nią trawi ducha swego Manfred, bo nie ma w sercu tej miłości dla ludzi, któraby nauczyła go pokochać nawet ułomną rzeczywistość, nauczyła odkrywać w każdym najbardziej zepsutém sercu iskierkę ducha bożego. Kocha się tylko w mrzonkach swoich, lubuje się cierpieniami swojemi, ubierając się w nie jak w płaszcz tragiczny, a o ludziach mówi jak o istotach, któremi gardzi tak dalece, że nawet

---

<sup>1)</sup> „Jesteśmy lalki czasu i słabości“ u Paszkowskiego.

na czele ich stanąć by nie chciał <sup>1)</sup>, od których jeszcze w młodości odwracał się umysł jego <sup>2)</sup>, z którymi spotkanie zniżało go do ich poziomu i przypominało mu, że jest prochem <sup>3)</sup>.

Wielki geniuszu! gdybyś zamiast brzydzić się tym prochem, nachylił się do niego i wyciągnął ku niemu rękę, nicby na tém nie straciła twoja wielkość! Przeciwnie, z bohatera kartonowego jasełek urosłbyś był na prawdziwego bohatera dziejów i nie potrzebowałbyś teatralną pozą i fałszywym brzękiem słów napełniać téj strasznej pustki, jaką czujesz w piersi po bezcelowo przeżytém życiu, strawioném na poszukiwaniu szczęścia tylko dla siebie i tylko w sobie.

#### IV.

Manfred i jego pokolenie nie umiało pochwycić idei postępowej wieku, zbyt głęboko ukrytej wśród chaosu gruzów, którymi zasypał niwę dziejową wielki wybuch końca zeszłego stulecia. Minęło poko-

1)

*I disdain'd to mingle with  
A herd, though to be leader—and of wolves  
The lion is alone, and so am I.*

(Akt III, Sc. 1).

Bo też nigdy ja ludzi nie chodziłem torem  
samotność wołałem

Bo nie mogłem być wilkiem z serca, ni z odzieży,  
Ani nawet przewodzić wilkami nie chciałem  
W samotności lew żyje, pragnę żyć lwa wzorem.

(tłom. Chodźki, str. 72).

2) *From my youth upwards My spirit walk'd not with the souls of men*

(Akt II, Sc. 2).

Od najpierwszej młodości duch mój szczytnych lotów  
Uciekał z téj pustyni, którą światem zowiem,  
Nigdy do zwykłych rzeczy i ludzkich obrotów  
Nawyknać ja nie mogłem.

(Chodźko, 36).

*For if the beings, of whom I was one, —  
Hating to be so — cross'd me in my path,  
I felt myself degraded back to them,  
And was all clay again.*

(Akt II, Sc. 2).

lenie i idea ta zaczęła się wyraźnie zarysowywać wśród mgławicy przyszłości. Lecz nie znalazło się geniusza któryby wyprowadził ją na widownię dziejową i ukazał ludzkości w słonecznym blasku prawdy i piękna jako ideał przyszłości. Zaopatrzone w swoje drobne, egoistyczne sympatyie nawyknięcia i przesady, nowe pokolenie nie dostrzegło glorii, otaczającej czoło przybysza, a zrażone w swoim poczuciu artystycznej elegancyi jego ubogimi łachmanami, zapytało jak niegdyś „naród wybrany” na widok Chrystusa: „Czyż może Mesyasz rodzić się w żłobie?” i zawołało: „Ukrzyżuj go”!

Typowym reprezentantem tego drugiego pokolenia jest hr. Henryk.

W żadnym utworze poetyckim rozbrat, cechujący nasze stulecie, nie znalazł wyrazu tak doskonałego, tak wszechstronnego, tak ogółie ludzkiego, jak w tym poemacie, należącym treścią do środka stulecia, a poprzedzającym na lat piętnaście chwilę dziejową w której rozbrat ów doszedł do walki w czynie, jak ją proroczo niemal nakreślił wieszcz nasz w poemacie. „Nieboska Komedia” jest może najgłębszym dziełem XIX stulecia i tak charakterystycznym dla niego, jak Faust dla XVIII-go.

Nieboska Komedia jest dramatem dziejowym naszego stulecia, obrazem zapasów, które stacza przyszłość z przeszłością, a bohater jej, jak i geniusz zbiorowy pokolenia, do którego należał, staje, niestety, po stronie przeszłości.

Hrabia Henryk jest również jak Manfred arystokratą, jest postacią również kosmopolityczną, równie jak i tamten nie zajmuje żadnego dającego się określić punktu geograficznego. Lecz gdy Manfred tylko mówi i marzy, hr. Henryk działa. Mimo to czyn jego zostaje jałowym i nie mu nie gotuje prócz rozpacz. Całe życie jego napęła rozdzźwięk pomiędzy wysokim polotem fantazyi a rzeczywistością, o którą się rozbija.

Manfred został tylko materiałem na bohatera; nie dokonał on czynu, bo nie znalazł idei, którą by mógł w czyn wcielić; hr. Henryk rozmiął się z tą ideą i zbłądził w swoim czynie.

Dla czego?

Bo miał w sobie połączoną naturę idealisty i pseudo-estetyka. Jako idealista kochał prawdziwą wielką poezję ideałów; kochał ją w marzeniu i w życiu i pragnął pierwsze przenieść do drugiego. Jako pseudo-estetyk chciał razem z ideałem przenieść do życia i otaczającą go w poezyi świąteczną szatę, a gdy rzeczywistość kłam zadawała tym

pragnieniom, odrzucił jedną i drugą, aby cofnąć się do obozu ludzi którymi pogardzał, pod sztandary idei, w której przyszłość nie wierzył.

W znacznie później napisanym „Niedokończonym Poemacie” przedstawia nam autor „męża” z Nieboskiej jako młodzieńca, który, również jak i młody Manfred, marzy o szczęściu rodu ludzkiego a w „Snie” odczuwa wszystkie jego bóle i cierpienia, dostrzega tę krzywdę, z której ma wykwitnąć idea przyszłości. Lecz gdy pod sztandarami tej idei staje do walki obóz Pankracego, Henryk zostaje zrażony jej niestetycznymi formami, jej materyalistycznymi hasłami i rzuca się w obronę przeszłości...

Zbliża Henryka do Płoszowskiego znowuż pewna niepraktyczność życiowa, nieumiejętność skorzystania dla swoich celów z nasuwających się okoliczności, to co Płoszowski nazywa „nieudolnością życiową” chociaż przyczyny niepowodzeń obu są różne: u jednego zbytnia porywczosć do czynu, u drugiego—wahanie się i bierność. Niestety jednym i drugiego jest, że nie umieją znaleźć właściwego dla siebie czynu na polu szerszém, co wynika raczej z ich stosunku do epoki niż z osobistych skłonności. Henryk błądzi w wyborze żony jak później zbłądzi w obiorze obozu, którego ma bronić. Pierwszą porzuci bo jeszcze miewa złudzenia; drugiego nie chce odstąpić, gdyż duma i brak wiary, zachwianej poprzednimi osobistymi rozczarowaniami, stoją mu na przeszkodzie.

Idealizując przeszłość a nie chcąc zrozumieć przyszłości dla tego, że inne, niż on uroił, przybrała kształty, staje w obronie tego, co się przeżyło, nie jak bohater idei, lecz jak ambitny egoista, zakochany w swoich mrzonkach.

Wprawdzie i ambicja jego i egoizm nie są tuzinkowe, ani nawet osobiste w pospolitem znaczeniu wyrazu. Pierwsza nie dąży do zewnętrznych oznak chwały i władzy, ani do wyniesienia siebie nad wszystko, ale pragnieniem jej—położyć swoją osobistą pieczęć na ten cały wyłaniający się z chaosu dziejów świat przyszłości. Chce go takim jakim go wyśnił w marzeniach swoich, a jeśli ma być innym, to niech lepiej zginie! Staje przeciwko temu nowemu światowi i gniewa się, że „poezya kiedyś go ozłoci”. Egoizm jego jest wyłącznym ukochaniem marzeń własnych, celów własnych, choć nie ku własnej korzyści ani własnemu wyniesieniu skierowanych. Nie o ludzi, nie o szczęście pokoleń mu idzie przedewszystkiém, ale o to, aby dramat dziejowy odegrany został według estetycznych wymagań jego rozpieszczonej wyobraźni. Dla tego też staje po stronie upadającej przeszłości, bo sprawa zwyciężonych jest sympatyczniejszą dla poety, bo obóz Pankracego wystawia brutalnie hasła materyalizmu i użycia:

„Chleba, zarobku, drzewa na opał w zimie, odpoczynku w lecie! Szlachetny hrabia, który nigdy w życiu nie zostawał bez chleba i opału, a nie potrzebował zarobku, zapomniał że ludzie mogą być głodni, zmarznąć, znużeni...

Wprawdzie porywa go na krótko ta myśl przyszłości, gdy w chwili jasnovidzenia odsłania mu się w całej pełni:

„Ogarniam wzrokiem raz ostatni, podchwytuję myślą ten chaos, dobywający się z toni czasu, z łona ciemności, na zgubę moją i wszystkich braci moich; gnane szaleń, porwane rozpaczą myśli moje w całej sile swęj kołują.

„Boże, daj mi potęgę, której nie odmawiałeś mi niegdyś—a w jedno słowo zamknę świat ten nowy, ogromny — on siebie sam nie pojmuje.—Lecz słowo to moje będzie poezją całej przyszłości!”

Prawda, że ten świat nowy siebie nie pojmuje; wyznaje to i Pankracy, gdy w chwili zwątpienia mówi do téj idei, w imię której walczy: „Świat nowy utworzyłaś naokoło siebie, a sama błądasz się i nie wiesz czém jesteś”... A chociaż zwycięzca, nie wie, co począć po dokonaném zwycięstwie. Przeznaczenie jego kończy się, gdy upada ostatnia twierdza przeszłości — okopy Świętęj Trójcy. Pankracy to wcielenie żywiołowej siły konieczności dziejowej i rozkładającej analizy rozumu, czuje on sam, że nie wytrzyma z niego żadna myśl twórcza, a przyznaje, że „świat jego nie wyrósł jeszcze na olbrzyma, łaknie dotąd chleba i wygod, ale przyjdą czasy”!... Tak, stworzenie nowego pozostawia się czasom przyszłym... Za to w swęj roli burzyciela jest zupełnie pewny siebie, gdy woła: „zgrzybiali, robaczliwi, pełni napoju i jadła, ustąpiecie młodym zgłodniałym i silnym”. A nie odstrasza go przecucie, że sam nie będzie już świadkiem owych „czasów przyszłych”. Będąc wcieleniem fatalizmu dziejowego umie uchylić czoła przed koniecznością:

„Nie łudź się marną nadzieją, bo nie draśnię mnie ołów, nie tknie żelazo, dopóki jeden z was opiera się mojemu dziełu, a co później nastąpi, to już wam nie z tego”...

Gdyby zamiast pozostawiać poezji przyszłości „ozłocenie” tego obozu, Henryk, ukochawszy myśl jutra, opromienił ją blaskiem ideału, niezawodnie była by zwyciężyła nie tylko w czynie, ale i w duchu, a nie uginając się przed koniecznością faktu, przed fatalizmem dziejów, była by porwała życie za sobą; orle skrzydła ducha podniosły by ludzkość o jeden wielki szczybel wyżej ku niedoścignętemu tajemniczemu celowi dziejów...

Ale nie ma już wiary w siebie Henryk, a zbyt ukochał mrzonki własne, by zajrzeć śmiało w oczy rzeczywistości i z miłością wygrze-

bać złote ziarna prawdy wśród chaotycznych gruzów przeszłości i niejasnych marzeń przyszłości. Nawyknienie brać wszystko z punktu widzenia efektów artystycznych, być swoim własnym widzem, owo rozdwojenie ducha, który, porwany w czyn, nie traci jednak zdolności badania i spostrzegania, stworzyło w nim ustawiczną niewiarę w szczerść swoich popędów. Jak we wszystkich ważnych okolicznościach życia, tak i tu głos złego ducha, głos wewnętrzny, woła doń „dramat układasz!”

Zajrzała mu w oczy sława, „stary orzeł wypchany w piekle, zdjęty z pala, kędy go strzelec zawiesił w jesieni” i woła:

— „Nie ustępuj, nie ustąp nigdy, a wrogi twe, podle wrogi twe pójdą w pył!...”

Wstyd mu odstąpić obozu, który raz obrał, przyjemność walki pociąga ku sobie:

— „Nie ma rozkoszy, jak grać w niebezpieczeństwo i wygrywać zawsze, a kiedy przyjdzie przegrać, to raz jeden tylko!”

A przytém porywa go chęć zemsty:

— „Zemsta za shanbione popioły ojców; przekleństwo nowym pokoleniom; ich wir mnie otacza, ale nie prze za sobą.”

Szerszy powiew technienia społecznego tylko przeleciał nad tą piersią ale jej nie wzruszył. Jak zgniół kobietę, goniąc za chorobliwymi mrzonkami rozpieszczonego serca, tak w imię romantycznego uroku umierającej przeszłości miazdży współtowarzyszy boju, poświęca ich w walce bez nadziei i celu, jedynie dla ostatniego efektu dramatycznego, aby mógł jak bohater umrzeć na gruzach zdobytej przez nieprzyjaciół twierdzy, aby nie poddać się żywcom.

I najwierniejszy z sług jego przeklina go a wyrok dziejów—może zbyt surowy—potępia go w tych słowach:

„Za to żeś nie nie kochał, nie nie czeił, prócz siebie, prócz siebie i myśli twych, potępion jesteś, potępion na wieki.”

. . . . .

Poświęcić wszystko dla przekonań swoich, oddać za nie życie swoje i życie blizkich — jest bohaterstwem, jest cnotą najwyższą, ale wtedy gdy cześć i miłość tkwi w głębi tego poświęcenia: cześć dla ideałów, miłość dla ludzi. Henryk nie ma ani jednej, ani drugiego. Dla tego nie uwielbiony, lecz przeklęty i sam przeklina siebie. Nawet w swych marzeniach o synu, jak to słusznie zauważył już p. Tarnowski, Henryk myślał o sobie i siebie kochał.

— „Żadnej wiary, miłości, nie ma we mnie, jedno kilka przeczuć krąży w téj pustyni: o synu moim, że oślepie, o towarzystwie

w którym wzrosłem, że się rozpręganie: i cierpię tak jak Bóg jest szczęśliwy sam w sobie, sam dla siebie.”

Pyszałek z zimnem sercem i próżną piersią, z ognistą wyobraźnią i szaloną dumą:

„Człowiekiem być nie warto — Aniołem nie warto. — Pierwszy z Archaniołów po kilku wiekach, tak jak my po kilku latach bytu uczułem nudę w sercu swoim i zapragnąłem potężniejszych sił. — Trzeba być Bogiem lub nicością!”

— Padnij w proch przed sobą samym — taki jest odwieczny głos szatana, gubiącego wielkie duchy.

Henryk należał do olbrzymów duchowych i spadł w przepaść „naksztalt katarakty”, jak o tém marzył Manfred... Jak Manfred chciał dźwignąć wiele, ale źle obrał cel wysiłków, bo zbyt zaślepiony był miłością własną.

## V.

Pomiędzy rzucającym się w wir dziejów romantykiem-marzycielem a niezdolnym do czynu sceptykiem-rezonerem, staje postać, która jest wynikiem zawodów pierwszego a przyczyną niemocy drugiego — oderwany od życia doktryner. Postać ta nie wchodzi jako ogniwo do genetycznego łańcucha wiążącego typowych przedstawicieli inteligencji XIX stulecia; ale jest wychowawcą ostatniego pokolenia, na które działa niejako ze strony; i nie zostaje do niego w tym stosunku jak ojciec do syna, lecz jak nauczyciel do ucznia. Ale uczeń przejmując od rodziców temperament, skład uczuciowy, usposobienia i skłonności, kształtuje to wszystko pod wpływem idei nauczyciela. Postać tę więc powinniśmy tu wprowadzić, aby zrozumieć Płoszowskiego.

Rok 48-y dzieli nasze stulecie na dwie, rażąco nie podobne do siebie połowy. Rok ten jest chwilą upadku pewnego poglądu na świat, którego ideom kłam zadał czyn. Filozofia ideału i wielkie marzenia społeczne stają w sprzeczności z życiem dziejowym, które, urągając szlachetnym marzycielom, z usiłowań ich robi awanturnikom, jak Napoleon III, podnózek do tronu a z idei postępowych wieku tarczę dla egoizmu klasowego.

Zrażone temi smutnymi owocami filozofii, zawiedzione w swoich nadziejach, młode pokolenie szukało innych haseł filozoficznych, innych celów w życiu. Dość marzycielstwa, prawda naga, prawda na wszystko obojętna, przed niczem się nie wstrzymująca niech będzie jedynym przewodnikiem naszym! Nie oglądajmy się na to, czy jest użyteczną czy szkodliwą, pociągającą lub wstrętą, bo ostateczny jej wy-

nik będzie zawsze dobry. Precz z ideałami, które nas zawiodły na rozdroża; myśli trzeźwój, myśli naukowej otwórzmy podwoje. Cześć dla rzeczywistości, pogarda dla mrzonek!

Tak rozumowało pokolenie, które było świadkiem rewolucyi 48 r.

Karłowacieją myśli, gasną sere wulkany,  
Dzieje już nie brzmią hymnem wiary archanielskiej,  
Wiek rozumu, jak tabor cindrów rozpasany  
Opycha brzuch podbitej materji cieleskiem...

Co popsuli marzyciele, naprawić mieli doktrynerzy; ale jak pierwsi bładzili nie dla tego, że byli marzycielami, lecz dla tego, że nie chcieli się liczyć z rzeczywistością, tak teraz drudzy zapomnieli, że rzeczywistość jest tylko gliną, z której lepi duch, ów wieczny artysta świata; gliną, którą znać potrzeba, ażeby dobrze obliczyć wysiłki nasze dla otrzymania pożądaných kształtów, ale która nie jest i nie może być ich prawodawczynią. Uczucie i wyobraźnia zawiodły—powołano do pracy rozum, i to tę część rozumu która najmniej się wiąże z wyobraźnią, której obca jest wszelka twórczość, wszelka synteza. Analiza staje się głównym narzędziem, a fakt głównym przedmiotem poznania. Wszystko co nie jest „faktem”, wyrzuca się precz jako towar zakazany. I nie tylko „fakt” zostaje jedynym przedmiotem wiedzy, jedyną rzeczą, zasługującą na uwagę, ale niebawem staje się jedynym prawodawcą w życiu.

„Wszystko co możliwe—istnieje gdziekolwiek w rzeczywistości”, uczył materyalista starożytny Epikur. — „Czego nie ma w najbliższej nas rzeczywistości, jest niemożliwe” wygłosił materyalizm dzisiejszy. Kategorie obowiązku i ideału zostały wyrugowane: na miejscu „powinno być” i „pragnę aby było” stanęło z wszechwładną wyłączością: „jest”.

„Istniejący fakt” staje się Bogiem. Był to tylko krok naprzód od myśli Hegla, że wszystko co istnieje jest rozumne. Wniosek ztąd błędny pod względem formalnym jak i pod względem treści: więc to co nie jest rzeczywistością stanowi mrzonkę, urojenie i niemożliwość —wniosek ten wysnuło chętnie pokolenie, które z całej nauki Hegla zachowało tylko jego pogląd na dzieje jako prawidłowo z nieubłaganą fatalnością rozwijający się proces, zmieniając jedynie terminologią filozoficzną na przyrodniczą, i przenosząc na całą przyrodę wyprowadzoną z ludzkich dziejów ideę postępu pod nazwą ewolucyi.

Te ogniwa pośrednie pomiędzy pokoleniem marzycieli a pokoleniem schyłkowców znalazły wyraz i w naszej literaturze.

Dusza poety podobna jest do owęj czarodziejskiej skrzyni, do której dość wrzucić słowo, ażeby stworzyła rzeczywisty przedmiot. Każda abstrakcyjna myśl epoki, każda dążność umysłowa lub moralna, potracając o umysł poety, budzi w nim siły twórcze, które wydają żywą postać, wcielającą w sobie tę ideę lub dążność. Słowo ubiera się w ciało. Ale utwór poetycki jest nieraz kopalnią złota potrzebującą swego górnika, aby ukryte w nim skarby wyciągnął na jaw i oddał na użytek ogółu, a za nie przewodnią służy przytem znajomość dziejów i ducha epoki współczesnej lub minionej.

Publiczność czyta nieraz dzieło poety, zachwyca się zewnętrzną szatą, ale nie pojmuje jego głębszej myśli filozoficznej. Odsłonięcie jej stanowi zadanie krytyki. Nasza poezya zawiera niemałe skarby idei, czekających jeszcze na krytyka-filozofa, który by je wydobył na jaw, wiążąc z szerszém tchnieniem życia dziejowego; postaci, które były by może równie popularnemi jak Faust, Hamlet lub Manfred, gdyby znalazł się ktoś, kto by je ukazał publiczności w należytém świetle. Jak w życiu nieraz, ocierając się o geniusz poetycki, podziwiamy jego wiadomości geograficzne lub heraldyczne i nie podejrzewamy, że są to tylko drobne i nie znaczące akcesorya umysłu; tak w literaturze przechodzimy nieraz do porządku dziennego nad wielką postacią psychologiczną, zachwycając się wzamian opisem krajobrazu lub pięknościami stylu autora. Wszak postąpili tak z Manfredem Taine i Brandes! Dramata filozoficzne Leonarda Sowińskiego, dziś prawie nieczytywane, są jednak tak bogate w myśl a tak blizkie nam, tak duchowo pokrewne... Bo też pisane były w epoce zbliżonej do naszej, w tej drugiej połowie stulecia, której dziećmi jesteśmy <sup>1)</sup>).

---

<sup>1)</sup> Za dowód tego, jak wiernie pojął poeta duch czasu, niech służyć następujące urywki zwrócone, zdawało by się, wprost do dzisiejszych „arystokratów ducha“:

Gdy lud, zważywszy Wasze rozumy  
I strupieszatęj piersi popioły,  
Odepchnie próżne roszczenia dumy,  
Wy, jak strącone rycząc anioły,  
Ciskacie gromy na ciemne tłumy  
I znieważacie myśli kościoły...  
Czemuż tej ciżbie służyć nie chcecie,  
Kiedy przewodzić jej nie umiecie?!

. . . . .  
Jałmużna wasza o kamień dzwoni,  
Modlitwa echem od ścian powraca,  
Anioł od westchnień kłamanych stroni...  
Faryzeusze! tu wasza płaca:

Jeden z nich pod tytułem z „Życia” należy właśnie do wspomnianego okresu przełomu; znajdujemy też w nim postać doktrynera — mistrza pokolenia Płoszowskich. Jest to raczej szkic dramatu niż dramat. Charaktery zaledwie nakreślone. Postaci pojedyncze mają zbyt abstrakcyjny charakter, mniej przemawiają do wyobraźni. Filozof przeważa tu nad poetą. Jak w Fauście lub Egmoncie Göthego całkowita i wszechstronna, postać człowieka-autora rozkłada się na kilka, z których każda jest wcieleniem mniej lub więcej jednostronnych władz ducha. Ale jakże każda z nich typowa! I czyż nie spotykamy w życiu takich, do których wprost można by przyczepić charakterystykę Uga lub Ludomira, Henryka lub Adama?

Doktór Ugo to doktryner, to wcielenie jednostronnej wszechwładzy rozumu, badającego dla samego poznania, ale co go czyni doktrynerem—gdyż bez tego był by tylko oderwanym od życia uczonym—to chęć nagięcia życia pod tę naukę, z której poprzednio wyrugował wszelkie pierwiastki wiążące ją z życiem, a przez to uczynił ośchłą i jałową; chęć zostania prawodawcą rzeczywistości, której nie rozumie, narzucenia jej formy, której sam nie posiada.

Bywają chwile, że tacy zabierają głos; chwile jałowości duchowej, kiedy tłum szukający sobie przywódcy w braku geniusza idzie za

---

Bo tu na ziemi, wszystko już macie,  
I dymy wonne i skarb nlemały,  
I pośród jęków troski nie znacie...  
Grób ten wasz — wiecznie zimny i biały!  
Lecz tam, na sądów niezłomnych szali,  
Kropelka potu lub krwi Łazarzy  
Nad hymny wasze Boga pochwali  
I przyszłość ludów przeważy.  
Bo wiara żywa czynem się pełni.  
A wy ją w słowo trupie zamknęli....

A oto znowu przepowiednia, jedna z tych, które stają przed okiem duchowym wielu współczesnych, którą w innych nieco wyrazach wygłasza i Płoszowski:

Czasem na dziejów bezwładnej fali  
Długo spróchniały korab nie tonie...  
Lecz niech po żaglach wicher powionie, —  
Rozkołysany, wnet się rozwali,  
I pracę wieków chwila pochłonie...

Bo też:

Pełno plam czarnych w zbiorowym duchu,  
Gdy rdza próżności siły mu strawi,  
Gdy każdy pierścień w bratnim łańcuchu  
Odrębne sobie cele postawi.

doktrynerem... Staje wtedy chwilowo na czele społeczeństw, prowadzi je... ale dokąd? Sam tego nie wie! Bo brak myśli twórczej, myśli żywej, myśli płodnej — to cecha doktrynerów. Ta analiza, której wszystko poddają, umie tylko rozkładać, ale nie budować. A gdy chwytają za sztandar, który wypadł ze zdrewniałej dłoni geniusza czynu, dźwignąć go nie są w stanie. Zdaje im się że burzą jak tytany, gdy tymczasem rozkładają spruchniałe już trupy, jak robactwo mogilne. Uganiając się za jakąś prawdą abstrakcyjną, prawdą dogadzaną ich wysuszonym mózgom, potrzebującym wszystko klasyfikować, abstrahować, określać, tracą z oka tę prawdę żywą, która stwarza czyn. Więcej niż tracą, bo ją ignorują.

Dla mrzonek, które wylęgają się w ich głowach wśród oderwanéj od życia kontemplacji, gotowi są poświęcić najżywotniejsze interesy społeczne. Są to ludzie pozbawieni zupełnie zmysłu społecznego, którzy jak Renan zajmują się „niewinnemi marzeniami” o przyszłej rasie dewasów-nadludzi, kiedy ojczyznę ich szarpie wojna domowa, lub jak Taine roztrząsają z punktu widzenia lekarza-psychiatry najświetniejsze karty dziejów swego narodu. Wylęgte w ciszy pracowni myśli rzucają doktrynerzy na łup publiczności, którą porywają błyskotliwością lub rzeczywistym talentem stylu, oryginalnością prawdziwą lub naśladowaną, istotną lub udaną wiedzą, szerząc często w ten sposób zarzek moralny, którego skutków sami nie są świadomi. Zresztą rzadko bywają myślicielami oryginalnymi. Najczęściej są to ludzie, którzy tylko zręcznie umieją korzystać z doby dziejowej dla dogodzenia swojej nieproporcjonalnej do zdolności ambicji lub dla zabłyśnięcia pożytecznym blaskiem. Porywają więc od wieków spoczywający w zbrojowni myśli ludzkiej oręż, wyciągają go na jaw, powlekają świeżym pokostem i wywijają przed oczyma tłumu. Jak zwykle w życiu, tak i u Sowińskiego Ugo jest tylko uczniem. Nauczycielem jego—doktor Omega, który niegdyś „wszystko zamknął w pierś własną” a teraz spędza ostatek dni w domu obłąkanych. Ugo jest tylko „jedną z najpiękniejszych myśli jego”. Ten waryat żyje w świecie własnych abstrakcji i nie chce znać innego świata, jak go nie znał, kiedy jeszcze był uczonym. Nie był i wtedy szkodliwy dla społeczeństwa, jak nie jest nim dziś—zdzieciniały waryat, za kratą domu obłąkanych. Jak pajak z siebie i dla siebie snuł tkaninę myśli swoich. Ale Ugo pochwycił te myśli i rzucił je tłumowi; przez nie chciał się wznieść, przy ich pomocy zapanować nad masą. I Omega, gdyby nie był waryatem, był by tak zdziwiony tem co z nich wynikło, jak Prometeusz w prześlicznym i głębokim obrazku p. Konopnickiej przerażony zostaje użytkiem, który Syzyf zrobił z jego boskiego daru. Omega, jako myśliciel i uczony,

szukał szczerze prawdy, a nikt mu za złe nie weźmie, że szukając jęj zbłądził, i za tę szczerotę wybaczymy mu nawet zarozumiałość jego. Ale Ugo niczego nie szukał, wszystko znalazł gotowe i nawet nie zadał sobie pytania, czy ta prawda jest rzeczywistą prawdą? Czy dobrą jest w zastosowaniu? To ostatnie mógł śmiało pominąć Omega, ale nie Ugo, który z „prawdy” abstrakcyjnej robi praktyczne hasło życia, który ją rzuca tłumowi na użytek codzienny.

Buckle w swojej „Historji cywilizacji” zastanawia się nad pytaniem: jak powinniśmy postępować z prawdami, które mogą pociągnąć złe następstwa? Widać tu nietylko poważnego i uczciwego badacza, szukającego prawdy przedewszystkiem, hołdującego zasadzie, że światła nie należy kryć pod korcem, ale i człowieka - obywatela, którego dręczy obawa, czy ta jego miłość prawdy i prawdomówność nie staną się źródłem złego?

Starcie pomiędzy jednem a drugim boli go i wyciska mu owe liryczne pełne smutku stronicę, odbijające jego charakter moralny... Doktrynerów to nie obchodzi; są to *enfants terribles* postępu, którzy gotowi są każdą hipotezę lub teorią naukową zawiesić na kij u i zrobić z niej sztandar. Jak gdyby, po za czysto naukową ciekawością, ludzkość mogły cokolwiek obchodzić pytania: czy gatunki są stałe, czy się zmieniają; czy jest cokolwiek oprócz „atomów i próżni”, lub podobne do tych zagadnienia! — Nie pytają się o następstwa tych haseł, wykutych z teorii wytworzonych w zupełnie innym celu; nie myślą o tem, że te ich „prawdy” mogą być tylko częścią prawdy istotnej, albo nawet złudzeniem. Błędna teoria naukowa w pracowni Omega mogła być tylko stopniem przygotowawczym do prawdziwej; wyniesiona na targowisko interesów, przekuta na hasło przez Uga, stała się źródłem odrętwienia, letargu moralnego. Imponują tacy przez jakiś czas masom, ciągną je za sobą, dopóki nie ujawni się, że wspaniałe obietnice ogłoszone w imieniu wiedzy są tylko złudzeniem krótkowidzów; że cała ta ich mądrość, to

Widmo w blasków stropie pęku  
Z nieskończoną próżnią w łonie...

i wtedy tłumnie porzuca ich masa tak, jak się tłumnie poprzednio ku nim cisnęła, skoro taki Ludmir zagrzmiał hasłem żywotnem. A oni zostają osamotnieni, nie rozumiejąc teraz porażki swojej, jak nierozumieli krzywdy, którą społeczeństwu wyrządzali; dobrze jeszcze jeśli mają tyle rozumu i poczucia sprawiedliwości, aby razem ze wszystkimi uczyć Ludmira po dokonaniu jego dzieła, jak to czyni Ugo.

Postać ta jest u Sowińskiego jakby wciehleniem kolei, które prze-

chodził duch ogółu, tylko że ta faza w której go zastaje dramat jest raczej proroctwem dotyczącym późniejszego okresu niż ten, w którym był pisany <sup>1)</sup>. Duch wieszczu służył tu pocie jak i autorowi Niebo-skiej Komedyi; niektóre sceny robią takie wrażenie, jakby były wezo-raj napisane:

LUDMIR.      Któż dzisiaj bóstwem rzymskiego tłumu?

HENRYK.      Wenecyanin, przesławny Ugo!

LUDMIR.      Znam go. W nauce ukrył się z dumą...  
Na jakież losy czeka tak długo?

. . . . .

HENRYK.      Księgi go chłoną, czynem pomiata.  
Zanadto wątpi...

LUDMIR.      A wpływ że jego?

HENRYK.      Zabijający! — Ma on tu Łożę:  
Stu w niej wybranych co dzień zasiada  
Prawdziwa mędrców szalonych rada —  
Gdzie, jak bandyci na ostre noże,  
Walczą na myśli.

LUDMIR.      Igraszka babia!

Niewarta śmieci! — A sam że Hrabia  
Czy także walczy?

HENRYK.      On wszystko wali.

LUDMIR.      A tłum co na to?

HENRYK.      Kadzidla pali.

LUDMIR.      Cóż on ma w piersiach?

HENRYK.      Tylko zwątpienie.

Sam sobie to wyznaje Ugo, gdy mówi:

Szalony! Kruchą czaszką biję w mur z granitu  
I zamiast ostatecznej prawdy dla ludzkości,  
Trudem krwawym zdobywam próżnię niepewności  
I wieczny, wieczny rozbrat myśli mej i bytu.

Lecz wobec tłumu wyciąga „łachman purpury”, stroi się w dumę królewską, ażeby zaimponować masie:

Daléj — o bracia! W boskiem tem dziele  
Duch wasz nie padnie—gdy ja na czele!

---

<sup>1)</sup> Dla tego téż jedyny, o ile mi wiadomo, większy rozbiór tego szkicu dra-matycznego, napisany przez p. Kaszewskiego (Bibl. Warsz. 1862 r.) nie mógł oświecić go z tego punktu widzenia, z którego dziś się przedstawia. Niech mi to posłuży za usprawiedliwienie, że tak długo na nim się zatrzymuje.

Taż sama szalona zarozumiałość dzisiejszych przedstawicieli wyższej rasy, taż sama arogancya „arystokratów ducha” przemawiająca przez usta chóru wybranych:

Błyskawic strumienie  
Wytrysły nam w głowie...  
My Bogiem natchnieni!  
My świata Bogowie!

Też same aspiracye ich do władzy bezwzględnej, bezapelacyjnej:

Wola nasza  
Jest to rozkaz, którym Fatum  
Prawa swoje Wam ogłasza...

Zdaje się że słyszymy tu majaczenia Lapouge’a o „wyższej rasie”, Renana o *devasach* lub ich niemiecką trawestacyą „nadczołowieka” Nitzschego.

Poeta Henryk jest wcieleniem téj innej prawdy, której nie chce znać Ugo, prawdy promieniejącej z wiecznie młodej krainy ideałów; „cherubin natchnienia, mistrz struni pieśni, lutnista harmonii wiecznej.” Przeciwny jest z jednej strony Ugonowi jak uczucie — rozumowi, poezya wiedzy, z drugiej Adamowi, który jest wcieleniem zwykłych ludzkich żądz, widzących ostateczny cel w ich zaspokojeniu przez użycie, kiedy Henryk przeciwnie w wiecznym dążeniu ku niedościgniętym ideałom widzi przeznaczenie swoje:

Mam ja kochankę! pierś moja wrząca  
Gwarzy z nią pioską tajemną..  
Postać jój wiotka od lat tysiąca,  
Przez tysiąc grobów szła ze mną.

Jaśni uśmiechem dum nieśmiertelnych,  
Tęskni wspomnieniem przeszłości,  
Lecim w orszaku rojeń weselnych  
Na ślub ostatni w wieczności...

Nieraz w namiętném, drżącym westchnieniu  
Ucho me szept jój podsłucha,  
Nieraz — w ognistych oczu spojrzeniu  
Błyśnie mi promień jój ducha...

I znowu żegnam chwile te błogie  
I z widmem zaklętém w łonie,  
Idę, marzący, przez lata mnogie,  
Na strunach trzymając dłonie...

Miłość ta wieczna, jak czara słońca,  
Światłością duch mi zalewa..  
Słowem jój boskiem jest pieśń bez końca,  
Lub czyn co wieki zdumiewa!

Adam, który zupełnie nie rozumie tego porywu ku nieskończoności, który pragnie mieć szczęście w ręku i przez to szlachetną nawet miłość swoją „zbrukał szalu swego pianą”, odpowiada mu z ironią:

Co za szaleństwo! raj jednej chwili  
Oszczędzać na wieki całe!  
Puhar, co mgnienie jedno wychyli  
Rozbryzgać w kropelki małe!...

Tacy jak Henryk — nosiciele ideałów wieku, są natchnieniem apostołów czynu. Najbliższe więc powinowactwo wiąże go z Ludmirem, bo „Pieśń bez końca” jest zwiastunką „czynu, co wieki zdumiewa.” To też jedno i toż samo oskarżenie rzucają Ugonowi, jedno i to samo odpowiadają na jego roszczenia do przewodnictwa nad tłumem:

H e n r y k.

Precz mi w prochy karla dumo,  
Co okrawkiem brudnej szaty  
Ukryć pragniesz oczom tłumu  
Wiekuiстых zadań światy!

.....  
Kłamie wasze prawo bytu!  
Nie tą drogą dziecię Boże —  
Ludzkość — idąc stanąć może  
U przeznaczeń swoich szczytów;  
Iskrę bożą, w pierś jęj techniętą,  
Niech roznieci w żywot cały;  
Myśl ofiary z nieba wziętą,  
Serc najświętsze ideały —  
Niech wyrze pieśnią, słowem,  
Czynem wielkim i surowym  
I boleścią siedmiu mieczy...

.....  
Cóżś stworzył wolą swoją?  
Czy choć jeden owad lichy?...

.....  
Nic nie widzę!... Czynu pole  
Jedną świętą płonie chwilką...  
Wiedza twoja, w marzeń kole  
Zwaliskami sterczy tylko!

Weielenie w czyn ideałów poety — jest dziełem Ludmira, trybuna; „olbrzymia ciżb, społecznych potęg męża.” Sam autor mówi o nim:

Z tysiąca woli drgnień odlałem postać twoją,  
Boleścią bratnich serc noltrezyłem duch  
.....

Patrzajcież: otóż On! posępne cienie czoła  
Rozdziera jasna myśl, jak piorun kłęby chmur;  
Ofiarą zbrojna pierś ogromném hasłem woła,  
A chór — przerażający odgrzmiewa mu wtór.

Ludmir jest geniuszem czynu. Zrozumiał on, że czyn jest prawdziwém powołaniem człowieka, że tu odnajduje on swobodę swoją:

Jeden tylko odłam świata  
Bóstwem uznał ludzką wolę;  
W dziejach tylko, w życiu, w czynie,  
W dusz obszarach, w ludzie, w gminie  
Wola męska, myśl i ramię  
Samodzielnie kreślą prawa...

Te cztery postaci przedstawiają wcielenie zasadniczych dążeń natury ludzkiej: Ugo — życia umysłowego, dążności do wiedzy i panowania przez nią; Henryk — życia uczuciem czystém, wyniesioném po nad zmysłowość, dążenia do prawdy serca i do piękna; nad sercami rozciąga on panowanie swoje. Ludmir, apostoł czynu, porywa za sobą wole ludzkie, z których „tysiąca drgnień” powstała postać jego. Wreszcie Adam — to ogólne tło natury ludzkiej; to człowiek z jego pospolitemi i samolubnemi pragnieniami szczęścia, miłości, rodziny... Pragnie on zbudować szczęście swoje na czysto osobistém uczuciu i to w takiej chwili, kiedy wszystko dokoła porywa wir dziejowego czynu. Adama każdy, nawet bohater, ma część w sobie; jest to zupełnie ludzkie... Ludzkie, ale nie zwierzęce, jak stara się przedstawić okłamująca rodzaj ludzki beletrystyka francuska z ostatnich lat dwudziestu.

Dramat osobisty Adama i Ewy — zdaje się jakoby samemi imionami chciał poeta zaznaczyć praludzkie znaczenie tych postaci — przebiega tu równolegle do dramatu dziejowego; zachodzi tu stosunek odwrotny, względem tego, jaki jest w Nieboskiej: tam żona — tu mąż kończy w domu obłąkanych. Ewa tu odczuwa całe niezadowolenie z tego życia we dwoje i dla dwojga, a gorycz jego potęguje się tém jeszcze, że odepchnięta przez Ugona, bez miłości przyjęła rękę Adama. Popęłniła w tém wielki błąd, za który pokutuje głównie Adam: całą swoją istotę położywszy w tę miłość, traci rozum, gdy się dowiaduje, że zawiódł się na nią, a mimo całej szczeroci jego uczucia, budzi on jednak politowanie prędzej niż współczucie. Jego nieszczęście, jest wynikiem jego winy tragicznej: obojętności zarówno na wymagania społeczeństwa, potrzebującego w tej chwili stanowczej pomocy wszystkich swoich członków, jak i na dążność ku szerszym zadaniom Ewy, która skarży się, że mężczyźni przywłaszczyli sobie i ukryli oczom kobiety:

to wszystko czém świat promienieje —  
Porywy sere bratnich w niebiosa wpatrzonych,  
Skarb myśli i woli i mądrość i dzieje...

Że sereu kobiety zamknięta kraina  
Dum wzniosłych i czynów...

Napróżno wołamy: powietrza i słońca,  
Wy tylko, jak orły, poicie się niemi;  
Kobieta wzgardzona więdnije bez końca,  
Jak lilija wiotka, nagięta ku ziemi.

Tego, czém poją się orły, nie mógł jęć dać Adam, bo sam orłem nie był; przeznaczenie kobiety widział on zgodnie z filistrami wszystkich epok w „orzeźwianiu” mężczyzn „nektarem żywota, poezją, szczęściem”; skończyło się więc na tém, że „wszystko zbrukał szale swego pianą.”

Jak w potopie fiołków Heliogabala  
Serce moje wśród pieaszczot namiętych zamiera  
Napróżno drżące, biedne z kwiatów się wydiera  
Oddech jego piekielny skrzydła mu opala.

Tak skarży się Ewa i „brzydzi się sobą” i pierś jęć „noc zalewa okropna jak zbrodnia.” Gdy Henryk jęć mówi o miłości dla męża, wybucha śmiechem, a śmiech ten, dosłyszany przez Adama, staje się śmiercią jego ducha.

Ugo jest arystokratą myśli; hrabia Henryk — arystokratą uczucia i wyobraźni. Obaj wnoszą się nad otoczenie swoje, ale zimno społeczeństwu od tę wyższości; tylko ujemne ziarna sieją w myśli i czynie... Bo nie mieli tę miłości dla ludzi zwyczajnych, nie-poetów i nie-bohaterów, tę miłości, która każe zbliżyć się do nich i podnieść do siebie, zamiast uciekać od nich i sarkać zdaleka; miłości, która każe odczuwać ból wszystkich cierpiących, płakać łzami wszystkich w niedoli porzuconych, przez którą zapominają się własne, nieraz okropne cierpienia, na myśl o tém, jaką znikającą kroplę stanowią one wśród bezmiaru niedoli świata.

Wszyscy wymienieni tu bohaterowie, zarówno Manfred i Henryk, jak i Ugo, przeciwnie do potwornęj wielkości wydymają własne niepowodzenia, niekiedy urojone bóle, z pogardą patrząc na rzeczywiste męki innych, którzy czują może mniej subtelnie, może mniej boleją nad rzeczywistym, ile te wyjątkowo wrażliwe natury nad urojonym smutkiem, ale cierpią i boleją jednak.

Zapatrzeni są w siebie i drobna ich istotka rośnie, wydyma się do rozmiarów potężnych, olbrzymich; pochłania ich cały byt, zapełnia całą myśl, zasłania im szeroki świat.

A wielka myśl społeczna kiełkuje tymczasem, rośnie, ale formy znaleźć nie może; bo nie umie jęj stworzyć instynkt tłumu, a geniusze odbiegli od niego, wzbili się w obłoki i zajęci szarpaniem własnych wnętrzności, zapomnieli o nim.

I myśl ta czepia się takich Pankracych, geniuszów zniszczenia...

Ubiegł szereg lat, który wiele zmienił. Myśl po bezowocnych próbach weielenia jęj w czyn, odtracona i zgębiona przez pokolenie Henryków, ostatnie, co arystokratyzm zrozumiało jako posłannictwo dziejowe, obniżyła chwilowo polot, przechodząc do demosu. Jak ptak z podciętem skrzydłem upadła z nieba na ziemię i wlecze się po niej...

I wielkich mężów przestała tworzyć myśl poetów, a wiek „wylę-gły w grobach, wzrosły na ruinie” wydaje od czasu do czasu takich niedoszłych poetów, natury wrażliwe, pragnące „wylatywać nad poziom-y...” Ale nie mają dziś one tego promiennego wzroku, którym wieszcz każe „przeszywać ludzkie ogromy”; bo zgasło już wielkie słońce ideałów. Doktrynerzy wygnali je z życia i kazali ukorzyć się przed faktem; a wspomniane natury wrażliwe, „poeci życia” nie są prawdziwymi poetami czynu, nie są geniuszami twórczymi, którzyby potrafili utorować nowe własne drogi. Czémże się staną? Wydadzą Płoszowskich...

## VI.

Polem właściwem dla eposu i dramatu jest czyn, bez którego nie ma akcyi. Mimo to widzimy niekiedy udatne utwory epiczne lub dramatyczne, których główni bohaterowie cierpią na zupełny brak postanowienia do czynu, na „chorobę woli”, jak trafnie określił P. Chmielewski<sup>1)</sup>, stan psychiczny Płoszowskiego. Akcyja w takim razie przebiega niezależnie od woli bohatera, pociągając go za sobą. Jego czynności podobne są do ruchów automatu, a zadaniem poety staje się odsłonięcie przed czytelnikiem tego wewnętrznego mechanizmu sprzężyn, których starcie się powoduje nie ruch, ale bezwładność.

Odwiecznym pierwowzorem podobnej chwiejności jest Hamlet, typ powszechny co do czasu i przestrzeni. Płoszowski chociaż mimo-woli nasuwa z nim porównanie, jest jednak charakterystycznym wytworem końca naszego stulecia i zasadniczo różni się od swego pierwowzoru z początku XVII-go wieku. Hamlet nie jest duchowym ojcem Płoszowskiego; poprzedników tego ostatniego powinniśmy szukać nie wśród oderwanych od biegu czasu typów, lecz w zupełnie określonej dobie dziejowej.

<sup>1)</sup> „Ateneum” 1890. „Choroba woli.”

Pod względem myśli Płoszowski jest uczniem Uga, tak jak Ugo — uczniem Omegi. Jest on jednym z tego tłumu, któremu rzucał Ugo zmienione na zdawkową monetę, obniżone do jego poziomu doktryny Omegi. Płoszowski jest nawskróś przetrawiony rozkładowym fermentem téj nauki.

Pod względem wyobraźni i wrażliwości, jest tak samo rozpieszczony, jak Manfred lub Henryk, o tyle tylko niżej stojąc od nich, o ile i w tym kierunku oddziałał nań ferment epikureizmu, zarówno ceniącego wszelkie rozkosze i brak „dogmatu”, usuwający skalę wyższości lub niższości.

Ale pod względem uczucia i woli jest Płoszowski dzieckiem swego czasu, wytworem „swego rodzaju” (*sui generis*), nie mającym nic podobnego sobie w postaciach poetycznych minionych okresów. Bo brak woli Płoszowskiego nie da się, jak już wspominałem, zestawzić z chwiejnością Hamleta, a wyjaśnienie przyczyn téj „choroby”, stanowi istotę zagadnienia psychologicznie-społecznego, na które odpowiedzieć, może trochę jednostronną, lecz w każdym razie trafną, jest tytuł powieści: „bez dogmatu.”

U Hamleta przyczyną wahania się nie jest wątpliwość co do wyboru drogi, ale niepewność tego, czy on stoi na téj drodze, o której wie, że jest dobrą; Płoszowskiemu przeciwnie brak jakiegokolwiek pobudki, dla którejby miał wybrać raczej jedną lub drugą; idzie tą, na którą go fala wyrzuci i nie ma żadnego powodu szukać innej. Jedyne pobudkami, które nim kierują, są nawyknięcia, względy przyzwyczajenia, chwilowe upodobania, nie wiem co wreszcie, co nawet w jego własnych oczach ma tyleż znaczenia, jak barwa rękawiczek lub kształt krawata.

„Zatraca się we mnie w pewnym stopniu poczucie różnicy między złem i dobrem, pisze Płoszowski po upadku swoim, a co więcej, różnica ta staje mi się obojętną. Przypuśćmy, że jesteś gorszy, niż byłeś — więc cóż z tego? Dlaczego masz męczyć się z jakichkolwiek powodów?”

---

Przystępując do szczegółowego rozbioru psychologicznego głównej postaci z powieści Sienkiewicza, powinniśmy ustrzedz się przede wszystkiem możliwych błędów, wynikających z pamiętnikowej formy, która, zdaje się, że uwiodła niektórych z krytyków naszych.

Prowadząc opowiadanie w pierwszej osobie, autor musi zamilczać i kazać domyślać się czytelnikowi o pewnych rysach charakteru swego bohatera, których wypowiedzenie przez niego samego mogłoby nie tylko zrobić niemiłe wrażenie, ale wprost przedstawić go w fałszy-

wém świetle; tak np. nie może włożyć mu w usta pochwał dla swoich zalet lub powodzeń, jeśli nie chce go przedstawić zarozumiałcem lub fanfaronem.

Powtóre, człowiek piszący o sobie, może się często łudzić co do pobudek lub charakteru swoich uczynków, może uciekać się do sofistycznych usprawiedliwień przed sobą samym i t. d., a intencją autora może być niekiedy właśnie przedstawienie tych złudzeń lub sofisteryi jako takich.

Powieść w formie pamiętnika wymaga ze strony czytelnika więcej wyobraźni i głębszej analizy niż zwyczajne opowiadania; zbliża się ona pod tym względem do dramatu, że w obu brak wskazującego palca autora; co w jedném musi dograć aktor, to w drugim powinien sobie domówić czytelnik.

Analizując charakter Płoszowskiego, powinniśmy więc ustrzedz się podwójnego błędu: 1) Nie powinniśmy brać za czystą monetę jego złudzeń, urojeń i wybryków lub pięknych słówek, których chociażby w najskrytszych i najszczerzych wynurzeniach nie może się ustrzedz człowiek przyzwyczajony do ciągłego pozowania w życiu, człowiek, którego jedyném polem działalności był salon. 2) Nie należy zapominać, że widzimy jego osobę zawsze tylko przez pryzmat jego własnych zapatrywań, które mogą być w pewnych razach zbyt czarno, w innych zbyt różowo zabarwione; w jakim kierunku i w jakim stopniu potrzebne będą tu sprostowania—wynikać to będzie z całokształtu jego charakterystyki. „Moje myśli są gorsze odemnie”, mówi Płoszowski w jedném miejscu.

Przedewszystkiém zaś pamiętać należy, że bohater Sienkiewicza nie jest abstrakcją, jak doktor Omega lub Ugo; jest on żywym i konkretnym, może nawet zanadto konkretnym człowiekiem, ażeby być skończonym typem poetyckim; że na utworzenie téj postaci złożył się cały szereg warunków, prócz tego rysu zasadniczego, który określa tytuł powieści. „Jestem istotą złożoną”, mówi on sam o sobie.

Charakter typu tego jest taki, że dla najlepszego uwydatnienia jego, dla doprowadzenia wytycznych rysów do możliwego wykończenia wypadało go umieścić w pewnych wyjątkowych warunkach. Autor zrobił z niego zamożnego arystokratę, nie potrzebującego troszczyć się o chleb powszedni, z łatwością zaś mogącego spełniać wszelkie swoje zachcianki, bo w tych warunkach najlepiej mogła się rozwinąć i okazać owa „choroba woli”, która jest wybitną cechą jego charakteru, a którą by niezawodnie osłabiło, jeśli nie uleczyło zupełnie, zdrowe technienie pracy, wyrzeczeń i walk życiowych.

Daliej należało zaznaczyć ogólnoludzki charakter tego typu. Ani Manfred, ani hrabia Henryk nie należą do żadnej narodowości; miejscem pierwszego z tych dramatów są „Alpy”; drugiego — „okopy św. Trójcy.” Sienkiewicz nie mógł tak postąpić: forma powieści i wymagania realistyczne dzisiejszej estetyki nie pozwalały mu zawiesić bohatera swego gdzieś między niebem a ziemią, a niektóre względy — głównie może konieczność zbliżenia go do Anielki, która jest czysto polskim typem niewieści — kazały autorowi zrobić Płoszowskiego Polakiem. Aby jednak zaznaczyć kosmopolityczny charakter typu swego, a zarazem usunąć z niego możliwie to wszystko, co by nosiło cechy miejscowe, Sienkiewicz osiedla ojca Płoszowskiego we Włoszech i daje Leonowi nawpół obce wychowanie. Spędziwszy połowę życia zagranicą, przerzucany z Rzymu do Paryża i tylko na krótko odwiedzając rodzinny kąt, nie mógł Leon wyrobić sobie tych uczuć względem niego, z których urosły np. dogmaty rzeźbiarza Łukomskiego <sup>1)</sup>.

Są to tylko akcesorya niezbędne jak wspomniałem dla doprowadzenia zasadniczych rysów bohatera do największego wykończenia: tak rzeźbiarz pragnący uwydatnić siłę masy, nie da mu postawy spokojnej, lecz przedstawi go wyprężającym wszystkie swe siły. Ale każda z tych okoliczności pozostawia po sobie pewien ślad w charakterze, pewien rys, który w stosunku do typu jest przypadkowym, a dodaje mu życia jako osobnikowi poetyckiemu. Jest tu i rozpieszczenie człowieka, któremu często kadzono dzięki przypadkowemu stanowisku, jakie zajmuje w towarzystwie; jest próżniactwo sybaryty

---

<sup>1)</sup> P. Wł. Bogusławski w swoim wzorowym rozbiórce „Bez dogmatu“ („Gaz. Polska“ 1890 r. № 262—266), zaprzeczając aby Płoszowski był typem międzynarodowym, opiera sąd swój między innymi dowodami na charakterze jego miłości, tak odmienną od miłostek np. opisywanych w powieściach francuskich. Nie należy jednak zapominać, że tę formę przybiera miłość Płoszowskiego dopiero stopniowo pod wpływem Anielki, która jest prawdziwie polską niewiastą. Pierwsze przystąpienie do niej Płoszowskiego przeciwnie nosi cechy przyzwyczajenia nabytych na arenie międzynarodowego flirtu: widzimy tu zachwyty wobec „puszku“ na policzkach, wyrażenia takie, jak np. „wygląda tak (Anielka), że chciałoby się ją schrustać i t. p., a nawet ubolewanie nad tem, że nie ma balzakowskich latek.

Niezawodnie, że Płoszowski musiał mieć w sobie pewne osobliwości czysto narodowe, pewne cechy przyrodzone, których nie zdołało zatrzeć kosmopolityczne wychowanie. Ale przynajmniej z przekonania jeśli nie z uczuć można go nazwać człowiekiem bez ojczyzny, również jak i bez dogmatów. Zdaje mi się, że z tem twierdzeniem w zgodzie zostają następujące słowa krytyka: „Płoszowski rozwinął się w atmosferze egzotycznej duchowo; świat jego, świat idei, pojęć, poglądów, nie naznaczył go charakterystyką odmiennych obyczajów i stosunków.“ („Gaz. Polska“ № 263, str. 1). Sam Płoszowski nazywa siebie „duchowem dzieckiem zagranicy.“

duchowego, którego nie napędza do pracy; jest zdenerwowanie, wynikające ze zbyt swobodnego użycia rozkoszy, do których przystęp ułatwiało bogactwo, wychowanie i otoczenie i ten sceptycyzm, jaki często spotykamy wśród ludzi zamożnych, którzy uogólniając pośpiesznie ograniczone doświadczenie swoje, wyobrażają sobie, że wszystko potrafią kupić jeśli nie pieniędzmi to łaską swoją <sup>1)</sup>; jest i trochę arogancyi, i zuchwalstwa pochodzącego z bezkarności; są histeryczne kaprysy i nedorzeczenie drażliwa miłość własna, która staje się jednem ze źródeł jego nieszczęścia — i co najdziwniejsza, że okazuje ją wtedy właśnie, kiedy tak upadł moralnie i zawinił względem Anielki przez stosunek swój z Laurą, — jest i nałogowa kokieteria (np. w stosunku do Chwastowskiego), i wygórowana próżność salonowa, objawiająca się w skwapliwem notowaniu wszystkich swoich drobnych tryumfów: czy to idzie o przewagę w pewności nad Laurą, czy o komplement Klary, czy o zwycięstwo dyalektyczne nad Stawowskim lub o skaptowanie młodego Chwastowskiego, a nadewszystko jest bardzo dużo egoizmu.

Najbardziej wybitnym rysem umysłu Płoszowskiego jest pesymizm — cecha wspólna z Manfredem i hr. Henrykiem. Ale jakże odmienne tu są źródła i objawy tego usposobienia! Manfredowi wszystkie zabiegi i usiłowania ludzkie wydają się zbyt drobnymi, ażeby warto było dla nich żyć. Jak olbrzym na karłów, spogląda na mrowisko ludzkie, lituje się nad małością jego celów, pragnie dla siebie jakichś olbrzymich, których znaleźć nie może i dlatego czuje w duszy pustkę. Takież nienasycone pragnienia, takąż wygórowana ambicja, wywołuje ów straszny okrzyk z piersi Henryka, kiedy po stoczonej walce uleść musi przemocy:

— „Człowiekiem być nie warto, aniołem być nie warto; trzeba być Bogiem, albo niczém!”

Tylko że tu nie brak celów, ale niemoc w ich osiągnięciu wywołuje ten krzyk bolesny. W każdym razie u obu pesymizm jest owocem ich życiowej tragedyi. Raz przekonawszy się o marności świata, nie wyciągają już dłoni po jego rozkosze.

Inaczej u Płoszowskiego; nie sięga on tak wysoko, ani też pesymizm jego nie płynie z tak głębokich źródeł. Przyczyną jego pesymizmu są pewne poglądy abstrakcyjne, które w gruncie rzeczy tak blisko go nie obchodzą. Dlatego też usposobienie to ma u niego charakter przeważnie rozumowy, nie uczuciowy. Nie wpływa ono bezpo-

---

<sup>1)</sup> Przypomnę np. te słowa: „wypchałem mu (doktorowi) kieszenie tak, że włożył kapelusza dopiero za bramą.”

średnio na czynny jego, chociaż stanowi ogólne tło życia, które nie-  
mniej rzuca swoje posępne barwy na wszystko, co się w niem roztacza.  
To też bardzo trafnie charakteryzuje go sam Płoszowski, gdy mówi,  
że nosi swój dramat pod koszulą. Pesymizm tu nie jest wynikiem  
życia, lecz je poprzedza; nikły „jak dym hawańskich cygar”, przesła-  
nia on jednak Płoszowskiemu świat, ale nie przeszkadza mu, ażeby  
natychmiast po pesymistycznej przegrywce wyciągał rękę po jego  
przyjemności. Jako dekadent współczesny umie on łączyć pesymizm  
w poglądach ogólnych z epikurejską gonitwą za rozkoszami *in con-  
creto*. Źródłem tego pesymizmu jest niewiara spowodowana przez filo-  
zofię, którą wyznaje Płoszowski. Rozpatrzmy ją nieco bliżej.

Nie wierzy on przedewszystkiém w samą tę filozofię, a więc  
wogóle w rozum ludzki, w jego zdolność osiągnięcia prawdy, wyrzeka  
na nią, że zburzyła jego naiwne wierzenia, nie dając mu w zamian nic  
trwałego i pewnego. W tej filozofii, która na wszystko odpowiada  
„nie wiem”, która „przyznaje, że jęj w dawném ogólném znaczeniu  
nie ma — i że istnieje tylko jako filozofia poszczególnych gałęzi wie-  
dzy”, a biorąc zwłaszcza na uwagę wiek Płoszowskiego — łatwo pozna-  
jemy pozytywizm, z silném zresztą sceptycznym zabarwieniem. Ale  
pozytywizm filozoficzny mówił: „nie powinienś zajmować się docieka-  
niami rzeczy nieprzystępnych rozumowi”, przyczém domyślnie uzupeł-  
niał ten zakaz nakazem: „a siły, którebyś na nie zmarnował, użyj na  
zagadnienia i potrzeby życiowe.” Płoszowski z pierwszego twierdze-  
nia przyjął tylko zaprzeczenie, tylko owo „nie wiem”, którem odpo-  
wiada pozytywista na zagadnienia niedostępne doświadczeniu. Nie  
zajmować się temi zagadnieniami nie mógł i to dla dwóch przyczyn:  
najprzód dlatego, że zajęcie się niemi leży w naturze ludzkiej; powtóre  
dlatego, że nie domyślał się tego drugiego nakazu, który dla czło-  
wieka zdrowego stanowił logiczną konsekwencję pierwszego zaprze-  
czenia, a którego spełnienie przyczyniłoby się przynajmniej do usunię-  
cia na drugi plan owych nierozwiązalnych zagadnień. Płoszowski  
skarży się nieraz na pewną „nieudolność życiową”, stanowiącą cechę  
jego charakteru; ta to właściwość, którą w swoim miejscu poddamy  
bliższemu rozbirowi, jest główną przyczyną, że życie szerokie nie  
może porwać go w swój wir i kazać zapomnieć o zagadnieniach teore-  
tycznych wśród walk i trudów czynu. Filozofia ta czyni go więc tylko  
nieszczęśliwym. „Nie masz, jak sama przyznajesz, dość siły odpowie-  
dzieć na pytania pierwszej dla mnie wagi — a miałaś jęj dość, by pod-  
kopać moją ufność w naukę, która mi na nią odpowiadała nietylko  
stanowczo, ale w sposób kojący i słodki... Metodą twoją, duszą  
twoją, istotą twoją, jest zwątpienie i krytyka... Wypaliłaś, jak ka-

mieniem piekielnym, we mnie wszystkie te nerwy ducha, którymi się wierzy bezkrytycznie i poprostu, tak, że dziś gdybym chciał wierzyć, to nie mam czém..., dziś jestem sceptykiem nawet względem ciebie, nawet względem własnego sceptycyzmu, i nie wiem, nie wiem, nie wiem! — i męcę się i szaleję w tej ciemności!...”

Również nie ma Płoszowski wiary w społeczeństwo i jego przyszłość. Ta wyrafinowana cywilizacja, która tak mile oddziaływa na jego nerw estetyczny, sprawia na nim wrażenie sewrskiej porcelany; czuje on jej kruchość. „Czy myślisz, mówi do Śniatyńskiego, że ci wytworni dyletanci życiowi nie muszą przegrać w walce o byt z ludźmi, mającymi tęgie nerwy, grube mięśnie i grubą skórę?” Tak jak i hr. Henryk, tém bardziej, że jest mniej od niego poetą a więcej pseudo-estetykiem, kocha Płoszowski ten świat, przeznaczony według jego przekonania na zagładę, jedyny, dla którego „warto żyć.” „Oczywiście, że wyroby sewrskie prędzej czy później się potłuką, a z gliny przyszłość ulepi, co jej się podoba.”

Sam on nie czuje powołania do tego, aby w czémkolwiek przyłożyć się do owego lepienia przyszłości, aby na miejsce „co jej się podoba” rzucić swoje „chcę!” I tu mu stoi na przeszkodzie owa nieudolność życiowa. „Nie czuje się na siłach być reformatorem nawet samego siebie.” Wreszcie co go to może obchodzić? — „W rzeczywistości istnieją tylko indywidua, gatunek zaś jest pojęciem ogólnym i w stosunku do jednostki najzupełniejszą nirwaną. Rozumiem miłość do swego syna, wnuka, prawnuka, to jest właśnie do jednostek, przeznaczonych na zagładę, ale patriotyzm swego gatunku może mieć chyba albo bardzo nieszczery, albo bardzo głupi doktryner.” Taki szczery wniosek robi Płoszowski z nieszczerych powikłań, którymi oplata swoje autor „DIALOGÓW FILOZOFICZNYCH” książki, której wpływ widocznie odbija się na wielu kartach dziennika naszego bohatera <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> Czytamy np. u Renana: „Religia jest dla ludzkości tém, czém instynkt macierzyński dla ptaka — ślepym poświęceniem siebie dla celów niezuanych, wytkniętych przez naturę; rzecz niedorzeczna w sobie, dobra dla celów przyrody, a więc prawdziwa a nadewszystko święta.“ („Dialogues“ str. 32). „Złem jest powstawać przeciwko przyrodzie gdyśmy się przekonali, że nas oszukuje. Tak, zapewne że oszukuje, lecz poddajmy się jej. Cel jej jest dobry; chcijmy tego, czego ona chce“ (str. 46). Rozumiem, że ktoś daje się złapać w pułapkę jeśli jej nie widzi. Lecz nie ma istoty tak głupiej, ażeby dała się namówić do pułapki dla samych pięknych oczu owego niezrozumiałego, a może i nieistniejącego celu nieznanego nam pani, którą Renan nazywać raczy Przyrodą. To też wysnute przez Płoszowskiego konsekwencje są i logiczne i zupełnie ludzkie. Z równą konsekwencją zawoła później: „Co mnie obchodzi układ społeczny, który wyciska krew ze mnie?” Ale na to już można mu odpowiedzieć: „Dlaczegoś nie pomyślał o lepszym układzie, lepszym dla ciebie i dla innych?”

Nie jest jednak Płoszowski pozbawiony pewnych sympatii do kół szerszych: „Lubię ludzi rozwiniętych, wyrobionych nerwowo i szukam ich tam, gdzie mi ich znaleźć łatwiej.” „...Lubię ich tak, jak lubię dzieła sztuki, piękną naturę i piękne kobiety.”

Lubi on tę warstwę, z którą czuje się blizkim, z którą wspólnie odbywa „miły spacer” przez życie, jak się wyraża jeden z jego mistrzów w filozofii życiowej, „prześnić jego sen”, „smakować gorycze i słodycze”, jak mówi drugi <sup>1)</sup>).

Ale Płoszowski należy do pokolenia, które niegdyś, w młodzięcym wieku marzyło o pracy dla ludu i wierzyło w ten lud. Trudno wprawdzie zrozumieć, gdzie się przejął on temi ideami, bo ani ksiądz Calvi, ani Jezuici w Metz zapewne ich nie wygłaszali. Również nie mógł wyczytać o tém w swoich ulubionych książkach: Renanach, Bourgetach i t. p. Chyba że coś słyszał w czasach koleżeństwa ze Śniatyńskim. Bądź co bądź stracił on i tę wiarę.

Lud, ten „ideał, przed którym nawet bardzo zuchwali sceptycy czapki zdejmują”, nie pociąga go ku sobie. Jest to dla niego „absolutne barbarzyństwo i ciemnota”, Owidiuszowa *rudis indigestaque moles*, z której przyszłość ulepi co jęj się podoba. Już „na cokół posągu zaczynają różni psotnicy wypisywać mniej więcej cyniczne koncepta... Przyjdzie w końcu jakiś genialny sceptyk, jaki drugi Heine, oplwa i spoliczkuje tego bożka — jak to w swoim czasie uczynił Arystofanes, — ale oplwa go nie w imię żadnych starych ideałów, tylko w imię wolności myśli, w imię wolności wątpienia — i co wówczas nastąpi — nie wiem. Prawdopodobnie na tęg ogromną pustę karcie dyabeł będzie pisał sonety” <sup>2)</sup>). To tęg jego filozofia dziejowa prowadzi do najsmutniejszego z wniosków: „oto dziad mój był szczęśliwszy od mego ojca, mój ojciec odemnie, a mój syn, jeśli go będę miał, będzie wprost litości godną figurą.”

Ta rażąca sprzeczność pomiędzy „wykwitem a może i przekwitem kultury” z jednęg strony, a „ciemnotą i barbarzyństwem” z drugięj, odśłania mu grozę przyszłości, a przewidywania jęg nie należą do takich, któreby mogły osłabić pesymizm. „Pod nami coś się dzieje, coś się staje, jest walka o byt, o kawałek chleba, jest życie realne, pełne

---

<sup>1)</sup> Renan i Bourget.

<sup>2)</sup> Pisząc te wiersze Płoszowski, może był pod wrażeniem następującego ustępu z Bourget'a: „Nie potrzeba wielkiej bystrości analizy, ażeby odkryć, że głosowanie powszechne jest najprędzję nieprzyjazne ludziom wyższym.” (*Essai de psychologie contemporaine*. T. I, str. 102) lub następujące słowa włożone przez Renana w usta Kalibana: „Wojna książkom! Są to najwięksi wrogowie ludu. Ci, którzy je posiadają, mają władzę nad swoimi bliźnimi.”

mrówczej pracy, zwierzęcych potrzeb, apetytów, namiętności, codziennych wysileń — życie ogromnie dotykalne, pełne zgiełku, które huczy i przewala się jak morze — a my siadamy sobie oto wiecznie na jakichś tarasach, rozprawiamy o sztuce, literaturze, miłości, kobiecie, obcy temu życiu, dalecy od niego, wymazujący z siedmiu dni tygodnia sześć powszednich. My, nie wiedząc o tém, mamy zamięłowania, nerwy i dusze, dobre na święto <sup>1)</sup>. Widzi on, że „do tego oderwanego świata należą mniej lub więcej wszyscy ludzie, posiadający wyższą kulturę, należy poniekąd nauka, literatura i sztuka.” I oto budzi się w nim „pół jasne poczucie jakiegoś ogromnego niebezpieczeństwa, które grozi całej kulturze” <sup>2)</sup>.

Również niepokojące, jak filozoficzne i społeczne *credo*, są poglądy Płoszowskiego na rzeczy, dotyczące osobistego życia i szczęścia. Szczęście to jedyna rzecz, po którą Płoszowski gotów w każdej chwili wyciągnąć rękę, jak dziecko po łakocie; a jednak nie wierzy w nie. „W życiu, powiada on, szukamy instynktownie świątecznych stron, rozkoszy i szczęścia—a nie wierzymy także i w szczęście.”

Dla człowieka, który w sposób tak uroczysty wyparł się „patryotyzmu swego gatunku” t. j. miłości ludzi, nie może być źródłem szczęścia dążenie do jakichś wyższych celów, do ideałów, sięgających po za osobiste uczucia i aspiracje. „Ze wszystkiego, z czego składa się życie, pozostała nam naprawdę tylko kobieta”, mówi Płoszowski o gromadce ludzi, do których należy.

---

<sup>1)</sup> Jakże przypominają te „*Causeries romaines*”—tak nazywa Płoszowski owe pogawędki — „*La tour d'ivoire*” St. Beuve'a, w której się zamyka literatura oderwana od szerokiego życia, oraz odpowiedni ustęp z poematu Lukrecjusza:

*Suave mari magno turbantibus aequora ventis  
E terra magnum alterius spectare laborem.*

<sup>2)</sup> Porównajmy z tém następujący ustęp z listu Krasińskiego do Gaszyńskiego, pisanego w tym samym prawie czasie co i „Nieboska komedia” (Rzym, 1834): „Cywilizacya nasza ma się ku śmierci; wiem że bliskie są czasy, w których zbrodnie nowe przyjdą karać stare i same się potępią w obliczu Boga, ale wiem także, że one nie utworzą, nie zbudują, przejdą jak koń Atylli... Dopiero to czego ani ja, ani ty, ani nikt nie zna, nie pojmuje, wzniesie się z chaosu i świat nowy z woli Boskiej, z przeznaczenia rodu ludzkiego zbuduje. Ale wtedy i moje i twoje kości prochem gdzieś będą.” Ta jednakowość nastroju poety, z którego wypłynęła postać hr. Henryka, a myśli włożonych przez Sienkiewicza w usta swego bohatera — owo poczucie kruchości lub blizkiego upadku cywilizacyi, a niewiara w to, co ją zastąpić może, najlepiej świadczą na korzyść słuszności zbliżenia i interpretacyi owych dwóch postaci, tak jednak niepodobnych do siebie, jak czasy i pokolenia, które je wydały.

Nie jest to jeszcze tak mało, jak się Płoszowskiemu wydaje. Stosunek do kobiety, forma, w której się objawia miłość, jest probierzem a po części i źródłem wysokości ogólnego nastroju ducha danej epoki lub danej warstwy społecznej. Jak z jednej strony pogląd na miłość i kobietę służy za miarę idealizmu danego społeczeństwa, a położenie jej za miarę prawdziwej jego cywilizacji, tak z drugiej znowu jedno i drugie wpływa na charakter uczucia, które już przez samą swą uniwersalność, siłę i skłonność naturalną do idealizacji, służy za szkołę dla innych. „Miłość nie daje rad bohaterowi, powiada Szyller <sup>1)</sup>, nie wychodzi z nim w bój, nie pomaga mu w jego czynach; lecz może ona wychować człowieka na bohatera, powołać do wielkich dzieł, dać mu siły do walki za ludzkość, słowem uczynić człowieka tém, czém być powinien.” Ale miłość taka może istnieć tylko tam, gdzie jest cześć dla kobiety.

Inne wszelako są zapatrywania w tym względzie Płoszowskiego. Jego stosunek do kobiet — to przede wszystkim pogląd „lisa na gołębnik.” Te, wśród których spędził młodość, t. j. panie z arystokratycznego i finansowego świata francuskiego, charakteryzuje następującymi słowy: „Są one subtelne, wyrobione nerwowo, szukające wrażenia, chełwiwe użycia, a pozbawione naprawdę wszelkich ideałów. Bywają też częstokroć równie zepsute, jak romanse, które czytają, bo moralność ich nie ma ani gruntu religijnego, ani tradycyi obowiązującej.” Są to pierwowzory typów, które spotykamy w powieści francuskiej społecznej; okoliczność ta ważna, bo temu otoczeniu, w którym skutkiem warunków wyjątkowych znalazł się Płoszowski, nadaje znaczenie pierwiastka powszechniejszego w wychowaniu moralnym naszego inteligentnego pokolenia. Jeśli bowiem Sienkiewicz, któremu szło o spotęgowanie wpływów, zdolnych wytworzyć typ „człowieka bez dogmatu”, uważał za właściwe przeprowadzić bohatera swego przez tę szkołę zepsucia w życiu, to nie ulega wątpliwości, że chociaż w słabszym stopniu, ale w tym samym kierunku oddziaływa czytanie odpowiedniej literatury powieściowej, która bądź w oryginale, bądź w lichych przekładach, dostarczanych skwapliwie przez niektóre firmy, stanowi pokarm duchowy pewnych warstw naszego społeczeństwa.

Książka zajmuje ogromne miejsce w naszym wychowaniu nie tylko intelektualnym, ale i moralnym; to co czyta się w wieku, kiedy umysł jest najbardziej wrażliwy na dobre i złe, nie może pozostać bez wpływu na ideały i przekonania pokolenia, które głównie pod wpływem książek wyrabia swoje. Najgorszą zaś z deprawacji jest ta

---

<sup>1)</sup> Ueber das Pathetische.

która, rzucając potwarz na kobietę, lub ją demoralizując, zatruiła najobfitsze, najpowszechniejsze źródło lepszych i wyższych uczuć, jakim jest czysta, pełna czci miłość dla kobiety. Na tle tego uczucia z łatwością rozwinać się może zarówno inna szersza miłość, jak i cały szereg cnót heroicznych i wzniosłych. Wszystko będzie zależało od poziomu moralnego kobiety i od stopnia szacunku, jakiego używa w danym społeczeństwie. Poniżenie jednego i drugiego, czy to drogą rozszerzania w książkach na wszystkie kobiety spostrzeżeń, zrobionych przez autorów wśród najgorszych z nich, czy to przez rzucenie młodzieńca w koło tych najgorszych, będzie miało za skutek maksymę praktyczną, tak sformułowaną: „w imię czego i dla kogo mam być lepszym od innych?”

W zachowaniu się Płoszowskiego względem kobiet nie ma nic ani etycznego, ani rycerskiego, ani czystych estetycznych uczuć poety, ale sama tylko poządlliwość pseudoestetyka. „Gdy widzę jakąś kobietę po raz pierwszy, spoglądam na nią, z mocy dawnych przyzwyczajęń, jak na przyszlą możliwą zdobycz, ale są to raczej odruchy umysłowe” — tak pisze on wtedy, gdy już Anielka o tyle opanowała całą jego istotę, że nie może zajmować się innemi; porównywa sam siebie do jubilera wycofanego z interesu: „Ujrzawszy jakiś cenny klejnot, powiadam sobie: warto się o niego postarać, następnie przypominam sobie, że się już zlikwidowałam — i idę dalej.” Jakiegoż to jednak zepsucia wewnętrznego, jakiego nałogu flirtowego potrzeba, ażeby podobne zapamiętywanie jak na zdobycz stało się aż odruchem, ażeby w kobiecie nie przemawiało do niego nic jako do człowieka, tylko jak do mężczyzny! Płoszowski jest tak dalece zepsuty pod tym względem, że przenosi swoje usposobienie na ogół mężczyzn, uważając je za naturalny niemal stan rzeczy: „My mężczyźni, jesteśmy tak przyzwyczajeni do dybania zawsze i wszędzie na kobietę, że do młodej i przystojnej żaden z nas nie zbliża się nigdy bez ubocznej myśli.”

Ta zupełna niewiara we wszystko czem może zapełnić życie człowiek o nieco szerszym widnokręgu, o wyższych aspiracjach, wystarcza też zanadto do wytłumaczenia pesymistycznego usposobienia Płoszowskiego. Skarży się on też nieraz, że „nie ma celu w życiu.”

Ale jeśli nie go nie pociąga do czynnego życia, a ma przytém umysł wrażliwy, skłonny do zastanowienia i kontemplacji, czy nie mogły by mu zapełnić istnienia te dwie dziedziny, w których tyle umysłów wyższych znajduje spokój i ukojenie, a nawet szczęście: sztuka i wiedza?

Płoszowski ma siebie za estetyka, często wspomina o swoich estetycznie wyrobionych nerwach. Spróbujemy więc przedewszystkiem

odpowiedzieć na pytanie jakie miejsce zajmują w życiu jego sztuka i piękno?

Nie ma chyba człowieka, który by był zupełnie niewrażliwy na piękno, jakakolwiek będzie różnica w jego pojmowaniu, i na tém właśnie polega ogólny wszechludzki i cywilizacyjny wpływ sztuki. Nie do wszystkich jednak okazujących w ten lub inny sposób tę wrażliwość z równem prawem stosować możemy nazwę natur estetycznych; wiadomo wszystkim, że melomani często najmniej rozumieją i odczuwają muzykę; a wśród turystów, którzy robią ogromne wycieczki w celu niby zadość uczynienia potrzebie oglądania piękna w naturze, wielu musi wyczytywać z Bedeckera wskazówki, kierujące ich zachwytaami. Wśród masy ludzi, których ogół miesza razem pod wspólną nazwą estetyków, jest bardzo niewiele natur prawdziwie estetycznych, ludzi głębiej odczuwających piękno jako objaw ideału, jako zmysłową szatę pewnej szczytności ducha. Tacy to kochają piękno; sztuka dla nich stanowi istotną i prawdziwą potrzebę; nie mogą się bez niej obejść, a chociaż nie są twórcami w jej zakresie, zasługują jednak na miano natur poetycznych; ich twórczość objawia się w życiu potoczném, niekiedy na polu dziejowém, a w czynach ich przewodnikiem są te ideały, których szatą jest piękno w sztuce. Ale takie natury wtedy tylko mogą zapełnić całe życie sztuką, gdy są w niej twórcami lub przynajmniej pracownikami; gdy służąc jej z powołania, służą zarazem ludzkości. W przeciwnym wypadku nurzają się tylko chwilowo w stygijskie fale piękna, aby wyszedłszy z nich z nowym hartem, iść w walki i trudy życia, aby wspomnieniem idealnej dziedziny bronić się od poziomych i degradujących napływów a światłem ich rozjaśniać drogi czynu. Wszelki dyletantyzm nienawistny jest tym ludziom czynnym. Większość przeciwnie „lubi” sztukę jak cienką bieliznę lub delikatną potrawę; rozkoszowanie się w niej jest dla nich rodzajem sybarytyzmu duchowego, rodzajem przysmaku, osładzającego długie godziny nieczynności, którego jednak prawdopodobnie łatwiej się wyrzekną niż materialnych wygod życia. Są to „pseudoestetycy”, a „imię ich legion” jak mówi Płoszowski—bo i on do tego legionu należy. Sztuka tak pojęta i tak traktowana wywiera skutek wprost przeciwny temu, który stanowi jej prawdziwe przeznaczenie: nie jak stygijska kąpiel bartująca serca, lecz jako jedna z przypraw do owej osłabiającej ducha i ciało ucztę epikurejskiej, w którą usiłują zamienić życie pokolenia schyłkowe <sup>1)</sup>.

---

<sup>1)</sup> W tym względzie grzeszy może brakiem prawdy poetyckiej ten wiersz naszej mistrzyni słowa:

Dla Płoszowskiego dzieło sztuki stoi prawie na równi z sewrskim wyrobem, zdobiącym jego biurko. „Czy odczuwam sztukę? zapytuje siebie,—tak, czy potrzebuję jęj?—także tak! Ale oni (t.j. ojciec Leona i jego nauczyciel, ksiądz Calvi) ją kochali, ja zaś odczuwam ją, jak dyletant, potrzebuję zaś jęj, jako dopełnienia wszelkiego rodzaju przyjemnych i rozkosznych wrażeń życiowych”... „Nie mógłbym się może obejść bez nięj w życiu—ale całego życia bym jęj nie oddał.” Zapewne w tém położeniu, w jakim się znajduje Płoszowski, wydaje mu się równie niemożliwem obejść się w życiu bez cienkiej bielizny i bez powozu.

Nie trudno się przekonać, że istotnie w zachowaniu się Płoszowskiego wobec sztuki, w jego sądach o nięj pełno jest dyletantyzmu; a nawet nie mamy wystarczających danych, aby sądzić czy w rzeczywistości ojciec jego kochał sztukę tak, jak się zdawało Leonowi. Kapryśne zamięłowanie w starożytnościach, jak wogóle wszelkie bawienie się w zbiory, jest najczęściej—zwłaszcza w starszym wieku—schronieniem umysłów, cheiwych zajęcia, a pozbawionych twórczości lub odpowiedniego wykształcenia do pracy naukowej oraz energii do życia czynnego; rzadko świadczą one o rzeczywistej miłości i znajomości przedmiotu. Czytelnik, który, będąc obcym staremu Płoszowskiemu, nie ma powodu idealizować, jak to czyni syn jego, téj manii zbierania, nie podniesie jęj zapewne do godności czynu obywatelskiego. Przykład ojca więc nie mógł prawdopodobnie przyczynić się do rozwinięcia w nim miłości sztuki, ale wysoce wpływał na wyrobienie „smaku” t. j. pewnej miary estetycznej, która stosuje się zarówno do życia jak i do dzieł sztuki.

W większym jeszcze stopniu dyletanckimi są poglądy filozoficzne i naukowe Płoszowskiego. Widzieliśmy już, badając źródła jego pesymizmu, że zapożyczał zdania od popularnych pisarzy, których poglądy na świat stanowią niekrytyczny zlepek krążących opinii, przesądów klasowych, upodobań osobistych, urywków wiedzy, często nie na

---

I wodząc miękką dłonią po etruskiej wazie,  
Uczył się jęj okrągłość zamykać w wyrazie,

bo to co stanowi prawdziwą piękność poezyi — nie retoryczną tylko deklamacyę, której zresztą pełno jest w poezyi rzymskiej jak i w mowach Cyncerona — to nie bywa owocem miękkiej dłoni, ani płynie z wzorów etruskiej wazy... Sybarytyzm ciała i ducha był zarówno wstrętny wielkim poetom i artystom, jak i innym wielkim duchom. Nie miękką musiała być ta dłoń, która wykuła Mojżesza; nie na otomanach wymarzył Cervantes swego Don Quichota; nie lubili się pieścić ani Byron, ani Mickiewicz, a wielu to poetów i pisarzy poddawało się umyślnie surowej regule w okresach twórczości.

miejscu zastosowanych, wszystko to przesiąknięte nawskroś duchem dogmatyzmu intelektualistycznego, wikłającego się jednak już w sprzecznościach i dla tego wewnątrz stoczonego nawskroś przez sceptycyzm, przez niewiarę w sam rozum. Czy kształtując swoją filozofią życiową pod wpływem téj literatury, stosując jęj wyniki do swojej osoby, do swego otoczenia wykazał Leon jakąkolwiek oryginalność, lub przynajmniej głębsze pojmowanie rzeczy?

„Odziedziczyłem zapewne po ojcu umysł syntetyczny, bo staram się zawsze uogólniać wszystkie zjawiska; z nauk zaś żadna nie pociąga mnie tak, jak filozofia. Ale za czasów mego ojca filozofia obejmowała taki sobie ni mniej ni więcej zakres, jak wszechświat i wszechbyć, wskutek tego miała gotową odpowiedź na wszelkie pytania.” Płoszowski, który „nie ma się za fachowego filozofa, bo z fachu... jest niczém,” który zajmował się tylko najnowszym ruchem filozoficznym, t. j. pewnymi książkami popularnymi, nie wie, zdaje się, że zakres filozofii jest ten sam i po dziś dzień, że był takim zawsze; a gdybyśmy, polegając na własnym świadectwie Leona, wierzyli w syntetyczność jego umysłu, to wiara ta upadła by całkowicie na widok zupełnej jego niemocy wobec przeciwności, otwierających się przed nim w życiu, jak rozdwojenia drogi przed niezdecydowanym w wyborze wędrowcem. Własnością charakterystyczną umysłu syntetycznego jest łatwość kojarzenia i jednania sprzeczności, przez wznoszenie się na stanowisko wyższe; a więc zdolność dawania stanowczych odpowiedzi na dręczące pytania. U Płoszowskiego widzimy przeciwnie daleko posuniętą skłonność i zdolności analityczne, bez najmniejszej władzy syntetycznej. Rozkłada on i rozbięra wszystko, nawet to co nie powinno być i nie może być rozłożonem. „Gdzie inni tylko kochają stawiałem znaki zapytania”.

Nie miał więc Płoszowski tych własności umysłu, które robią człowieka filozofem i myślicielem, a jeszcze mniej sprzyjał temu jego charakter i usposobienie, zbyt mało skłonne do cierpliwęj i drobnej pracy, która wytwarza zwykłych „uczonych” z ludzi daleko mniejszych zdolności.

Ale te ustawiczne znaki zapytania, mnożące się za każdym jego krokiem na polu życia i myśli, na które umysł jego nie miał siły odpowiedzieć, stanowią źródło wahań i niepewności, przyczynę nieszczęść, zasadniczy symptomat „choroby woli”, téj niemocy i nieudolności życiowej, na którą się często skarży. „Skutek był taki, że nie wyfilozofowałem nic, a wyjałowilem w sobie serce.”

Im głębięj zapuszcza się w tę analizę, tém więcej staje przed nim znaków zapytania, tém więcej sprzeczności, z których wyjść nie umie, nasuwa mu życie a czy to będzie przeciwstawność barbarzyństwa

i „kruchej” cywilizacji, czy pokolenia chorych pseudoestetyków lub zdrowych rekinów na wzór Chwastowskiego, czy zagadnienie „okrucieństwa dziejów”, czy też rozdzielenie pomiędzy wiedzą a uczuciem. Czasem buntuje się on jak dziecko przeciw swojej logice, i wykrzykuje: „Na przyszłość obiecuję sobie być zawsze niekonsekwentnym, ilekroć będzie mi z tē m lepiēj, dogodniēj, szczęśliwiēj”, — ale nie ma dość siły charakteru, aby być konsekwentnym w tēj niekonsekwencji; lub tēż z całą naiwnością dogmatyka wiedzy polega na broszurze Bungego „o witalizmie,” która zdaje mu się, jakoby dawała nadzieję naukowego uzasadnienia tego, w coby chciał wierzyć, a nie ma siły wierzyć na przekór wiedzy.

W braku więc zdolności syntetycznej, czyli w braku twórczości — bo wszelkie pojednanie sprzeczności polega na „stworzeniu” syntezy — tkwi intelektualne źródło niemocy Płoszowskiego. Kto umie tylko stawiać pytania, nie potrafi nic zdziałać. I gdy nareszcie dzięki tēj pytaniamanii wytwarza taki sztuczny dylemat: „ożenić się z Anielką — znaczy unieszczęśliwić ją; nieożenić się — również unieszczęśliwić” to zupełnie już słusznie powiada: „Oto koło błędne! tylko ludzie z gatunku Płoszowskich mogą wpaść w podobne” <sup>1)</sup>.

Czy jednak tylko ludzie obdarzeni twórczością i zdolnością syntetyczną w stanie są znaleźć w życiu drogi? Iluż jest takich, co nie tylko oryginalnie, ale nawet wcale nie myślą, mimo to w postępowaniu obierają dobrą lub złą drogę śmiało i bez wahania. Wprawdzie tacy najczęściēj nie analizują wcale. Miałby być słusznym często powtarzany przez Płoszowskiego aforyzm: „dziś tylko osły mają wolę”? Odpowiedzieć na to pytanie można będzie dopiero po całkowitym rozborze umysłowości naszego bohatera. Tymczasem postępując dalej w tēj analizie postawimy inne pytanie: o ile słusznē m jest jego wyobrażenie o wyższości swojej i na czē m ona polega, jeśli istnieje rzeczywiście?

Niejednokrotnie daje do zrozumienia Płoszowski o swoich niezwykłych zdolnościach czy to mówiąc o szkolnych czasach, kiedy „powodzenia egzaminowe kazały zapomnieć o wycieczce do obozu don

---

<sup>1)</sup> Bardzo charakterystycznym przykładem, oświeclającym tę manię stwarzania nieistniejących przeciwności, jest także ustę p poniższy. Była silna burza. „Panie poczęły odmawiać litanie, ja zaś miałem chwilę wielkiego niesmaku, wydało mi się bowiem, że jeśli ja będę odmawiał razem z niemi, będzie to z mojej strony hypokryzją, jeśli nie, to będzie wyglądało na popis źle wychowanego mędrka, nie biorącego w rachubę zwykłego wiejskiego obyczaju i przedewszystkiē m strachu kobiet.”

Karlosa, czy o nadziejach jakie w nim pokładali ojciec i nauczyciel jego ks. Calvi. W sposób dość delikatny daje do zrozumienia o tém, że był wysoce ceniony za swoje zdolności w kołach, gdzie się obracał, będąc dorosłym mężczyzną; o nim ludzie tu i owdzie mówią, kręcąc głowami: „Gdyby się tylko do czegoś wziął;” ciotka nazywa go „jenialnym”, Anielka w porywie naiwnego zachwyty, wywołanego jego gawędziarstwem woła: „Dlaczego Leon nie pisze?” a i sam on ma poczucie, „że mógłby być czémś nieskończenie większém, niż jest.”

Jeśli usuniemy cały szereg powodów do złudzenia, a w ich liczbie była niezawodnie owa łatwość, z jaką przyznaje się patent na genialność osobom cokolwiek wyróżniającym się w ciasnych, zamkniętych kółkach ludzi bez zajęcia realnego, oceniających ową genialność z wrażeń osobistej gawędy — bo w niczém inném ona się nie wykazuje—przyczém sędziami są zwykle ludzie nie mający pojęcia o rzeczywistej mierze talentu, którego jedynym probierzem jest praca; jeśli dalej zostawimy na uboczu wpływy, o których tak subtelnie rozumuje Ad. Smith, a powodujące, „że łatwiej przebaczymy wykroczenia książętom, ludziom bogatym i wielkim panom, zasługi zaś ich głośno wychwalamy”, — to jeszcze wobec tylu świadectw nie usuniemy się od obowiązku dokładnego zbadania, czy należał Płoszowski do umysłów wyższych, a odpowiedź na to pytanie będzie już pewnym krokiem w drodze do postawionego: czy rozum i wyższość intelektualna mogą stać się źródłem niemocy woli?

Wyraz „człowiek zdolny”, którym się tak często posługujemy dzięki któremu tylu osób robi wielką karierę, jest jednym z tych pięknych słówek, którym można nadawać tysiączne znaczenia. Słyszając pochwały dla czyichś niezwykłych zdolności bez wskazania ich przejawów, nieraz czułem wielką chęć zapytania: „Cóż za zdolność posiada owe indywiduum? czy dodawania w pamięci milionowych liczb? Napisania pięknej książki lub poematu czyli prędkiego wzbogacenia się na operacjach giełdowych? Zdolność administrowania wielkim majątkiem, zdolność do kombinacji politycznych czyli téż do zabawienia towarzystwa i przypodobania się paniom? — Nikt nie zaprzeczy że nie konieczne wszystkie te rodzaje uzdolnień muszą być połączone w jednym osobniku, oraz, że nie wszystkie cenimy w jednakowym stopniu. Mówiąc więc o czyjéjs zdolności, powinniśmy przedewszystkiém wiedzieć do czego jest zdolność i w czém się objawiła? Płoszowski mówiąc o sobie, ma oczywiście na myśli zalety umysłowe; ale i tak ograniczone pojęcie zostaje jeszcze zbyt szerokiém i nieokreślonym. Za ludzi zdolnych w tém znaczeniu uchodzą w towarzystwie najczęściej ci,

którzy łatwo przyswajają sobie cudze zdania, umieją zręcznie popisać się szczupłym zakresem erudycji, a przede wszystkim umieją nadać pozór oryginalności cudzym zdaniom, gdzieś w lot pochwyconym. Płoszowski sam przyznaje, że umysł jego posiada „pewną błyskotliwość”, daje też nam próbki popisów cudzym rozumem <sup>1)</sup>, a dyalektyczne zwyczajstwa, które odnosi nad ludźmi może poważniejszymi i głębszymi (za jakiego przedstawiony jest np. Stawowski), tłumaczą się łatwo nawyknięciem do rozmowy salonowej, w której zbyt często interlokutorowie obchodzą się z sobą nawzajem jak lis z chartami, do czego Stawowski mógł nie być wcale przygotowanym <sup>2)</sup>. Z tém wszystkiém musimy mu przyznać tę sprężystość umysłową, tę łatwość zorientowania się w każdym położeniu lub przedmiocie, które nie konieczniewie świadczą o głębokim umyśle, ale przynajmniej są formalnym warunkiem produkcyjnej pracy intelektualnej.

Produkcyjność pracy, jak już wspominałem, jest jedynym pewnym probierzem zdolności; Płoszowski téj próby nie wytrzymuje. Nie wykłucza to jednak, że jak sam mówi „dane mu były łuk i strzały,” tylko nie dana możność strzelania. Jakie czynniki wogóle złożyły się na tę jego „nieprodukcyjność,” na to że został geniuszem bez teki, nad tém bliżej się zastanowimy za chwilę.

Tymczasem zaznaczymy, że osobliwość ta znowu zbliża Płoszowskiego do Manfreda. Bohater Byrona również mówi o swych wielkich zdolnościach i przyrodzonych darach, zmarnowanych bezowocnie; ale i tu daje się odczuć takąż różnica jak między pesymizmem jego a beznadziejnym usposobieniem przedstawiciela schyłkowego pokolenia. Manfred zmarnował swoje zdolności dla tego, że nie znalazł godnego celu dla ich zastosowania, zagłębiał się on „w tajemnicze nauki, badał

---

<sup>1)</sup> Do takich należą np. zapożyczone od Feuilleta *netteté du plumage* lub *improductivité slave* wzięte z ust jakiegoś dyplomaty.

<sup>2)</sup> Epizod, o którym mowa, jest następujący: Stawowski rozwodził się nad położeniem klas wyzyskiwanych; Płoszowski przerywa mu pytaniem: czy przyjmuje teorię Darwina? i wykazuje mu niekonsekwencję darwinisty broniącego słabych. O ile tu z jednej strony wtrącenie argumentu o motywach pobudzających Stawowskiego do wstawiania się za słabymi i wyzyskiwanymi oraz wykazanie niekonsekwencji jego w tych motywach („pan ze stanowiska walki o byt powinienbyś sobie powiedzieć: są słabi, są głupi, więc muszą iść na łup nie tych, to tych”) jest wybiegiem sofistycznym — odwróceniem dyskusji od przedmiotu na osobę — bo cóż mogą obchodzić kogo poglądy osobiste Stawowskiego w kwestyi walki o byt i Darwinizmu, skoro tylko miał słuszość w przedmiocie, o którym mówił — o tyleż znów Płoszowski miał by słuszość, gdyby przedmiotem dyskusji nie było położenie owych klas, ale konsekwencya poglądu na świat Stawowskiego.

przyczyny śmierci w jej skutkach,” spędzał samotne dni i noce w wieży nad starymi księgami lub w pustyni, „przysłuchując się śpiewowi jesiennego wiatru i szelestowi opadłych liści; oddychał niedostępnym powietrzem górskich szczytów, gdzie ptaki nie śmiały wic gniazd swoich, ani owady wlewać; śledził w ciągu nocy bieg gwiazd i ruch księżyca, lub przyglądał się oślepiającym błyskawicom...” Samotność była szkołą jego wielkości a księgi dawnych mędrców lub wielka księga przyrody—źródłem jego wiedzy i jego natchnień...

Płoszowski nigdy nie oddalał się z pośród płytkiego trajkotu salonowo-towarzyskiego życia; nie widział inną przyrody prócz ufrizowanej i uperfumowanej miejsc kąpielowych lub ulubionych przez turystów, gdzie każda niebezpieczna skała otoczona jest baryerką a każda nieprzystępna ścieżka ułatwiona wykutymi w niej schodkami; nie czytał żadnych książek, których data wydania nie była by najświeższa, a z tych tylko popularne i „mające rozgłos,” t. j. modne, a jeśli poruszał zagadnienia dotyczące początku i końca bytu, to nie z tragicznym uniesieniem badacza, wkładającego cząstkę życia w badane prawdy, ale z nawpół obojętnym znudzeniem sybaryty, który przesycony słodkimi wrażeniami, wonią perfum i lekkim łechtaniem uczuciowości, rad na chwilę zanurza się dla urozmaicenia życia w cierpkie dziedziny umysłowości, aby pokręciwszy się w nich trochę i rzuciwszy na chybił trafił kilka mniej lub więcej szczęśliwych pytań, odwrócić się od niej, nie doczekawszy się odpowiedzi i wycedzić z ziewnięciem apatycznym: „co to mnie obchodzi?”

Bądź co bądź, ani Manfred ani Płoszowski nie dokonali żadnych czynów, które by głośno i dla wszystkich jawnie poświadczyły wyższość ich ducha. Widzieliśmy jaka była przyczyna tego u Manfreda: nie mógł on znaleźć celu dość wielkiego dla swoich pragnień; wzbijając się na wyżyny, utracił z oczu mrowisko ludzkie a dla tego przeoczył i wielką ideę dziejową i spadł z tych wyżyn w otchłań beznadziei.

Inne jest źródło tego uczucia u Płoszowskiego. Oprócz oceny według czynów lub zamiarów, możliwa jest inna, oparta na wartości wewnętrznej, niezależnej od zewnętrznych jej objawień. Poczucie wewnętrzne o swojej wyższości może posiadać człowiek, który wiele zdziałał, może je mieć ten, który czuje się zdolnym do działania i lepszym od innych, chociaż okoliczności nie pozwoliły mu w żadnym czy nie objawić swojej wyższości. Ale w wieku schyłkowym spotykamy się z nową dziwną oceną, którą wygłasza np. Bourget w następującym ustępie:

„Jeśli obywatele epoki upadku są niżsi jako twórcy wielkości swego kraju, czy nie posiadają znakomitęj wyższości jako artyści wewnętrzni ducha? Jeśli są mało zdolni do czynności publicznych lub prywatnych, czy nie pochodzi to stąd, że są zanadto zdolni do samotnego myślenia? Jeśli niezdatni na ojców przyszłych pokoleń, czy nie dla tego że obfitość wrażeń delikatnych i wyszukiwanie rzadkich uczuć zrobiły z nich wirtuozów jałowych, lecz wyrafinowanych rozkoszy i cierpienia? Jeśli niezdolni są do poświęceń głębokiej wiary, czy nie dla tego, że nadto wykształcona inteligencya uwolniła ich od przesądów i że obiegłszy wkoło wszystkie ideje, doszli do tój wyższej sprawiedliwości, która uprawnia wszystkie doktryny, wykluczając wszelkie fanatyzmy? <sup>1)</sup> . . . Wielkim argumentem przeciwko epokom dekadentyzmu jest ten, że nie mają one jutra i że zawsze zgniata je barbarzyństwo. Lecz nie jest-że to jakby fatalnym udziałem tego, co wyszukane i rzadkie, że nie ma racyi wobec brutalności?”

Znajdujemy tu istotnie całą psychologią i filozofią Płoszowskiego aż do tój myśli włącznie, „że wyroby sewrskie potłuką się wcześniej czy później.” Tak też nieraz Płoszowski tłumaczy sobie swoją wyższość, gdy np. mówi: „Jestem naturą bardzo złożoną”, gdy szuka udzi „nerwowo wyrobionych” z którymi mu jest dobrze i t. d. Jednak istnieje głęboka różnica pomiędzy Płoszowskim a owym typem zawczasu przesycanego życiem sceptyka, jaki spotykamy w epoce upadku cywilizacji starożytniej:

„Oto doszedł do pożądanego spoczynku, do tój błogięj beznamiętności (*apathia*), stanowiącej cel i nagrodę mądrości. Nic go nie wzrusza, nic nie dziwi, nic nie zasmuca. Lecz krocząc od ostrożności ku nowęj ostrożności, ścieśniał coraz bardziej koło swoich czynów, a teraz duszą go ciasne skręty jego doktryny. Złudzenie wchodzi do jego duszy, z której wygnał namiętność. Jednostajny obraz świata, wobec którego zachowuje się jako widz nieczynny, nuży go i doprowadza do rozpacz. Wyda on z Lukrecyuszem ów powtarzany okrzyk zniechęcenia: „wiecznie, wiecznie to samo! *Eadem sunt omnia semper*...

---

<sup>1)</sup> Porównajmy to miejsce z pochwałami Płoszowskiego dla Paryża, gdzie „pierwiastki wiedzy, sztuki, wszelkiego rodzaju ideje ogólnoludzkie” „krążą w powietrzu i wsiąkają w głowy ludzkie.” Tu „umysł traci jednostronność, staje się wyrozumiały i ucywilizowany...” bo też gdzieindziej spotyka „głowy nawet bardzo mocne, ale tak nie chcące dopuścić, by mogło coś istnieć po za promieniem ich światła, tak wyłączne i tak barbarzyńskie, że dla ludzi, którzy chcieli zachować swój własny sposób widzenia rzeczy, stosunek z nimi był wprost niemożliwy.”

*Eadem omnia restant!*” Z większą jeszcze niecierpliwością oczekując kresu swojej zbyt spokojnej nędzy, zawoła z Seneką „Dokąd to trwać będzie?—*Quousque eadem?*” Jedyna przewaga, którą sobie zapewnił jest brak obawy śmierci; bo tak stopniowo skierował ku niej swoje życie, że bez wstrząśnienia przejdzie z jednej nicości w drugą.” <sup>1)</sup>

Płoszowski nie jest wyłącznym „artystą ducha”, nie jest tylko kontemplacyjnym leniwcem z odcieniem filisterskim, który z obawy silnych wzruszeń starannie ruguje z duszy swojej wszelkie namiętności. Jak i całe pokolenie schyłkowców współczesnych łączy on z temperamentem dekadentów rzymskich aspiracye współczesnego mieszczaństwa a zamiast stoickiej obojętności pierwszych, posiada on epikurejską ruchliwość drugiego, pragnie on wzruszeń, ale nie ma siły ich głębszego odczucia; garnie się do życia i chciał by je w nieśmiertelność przedłużyć, ale nie ma w nie wiary. Jego imię nie moc, z kąd że więc płynie jego poczucie wyższości nawet nad takimi ludźmi pracy jak Śniatyński? Byłoby ono czystem złudzeniem? Nie; wyższość Płoszowskiego istnieje i polega w tém, że chociaż nie jest ani poetą ani filozofem bierze on świat i życie filozoficznie i estetycznie, co mu nie pozwala z jednej strony zadowolnić się tą drobną, mrówczą pracą, w której się grzebią z takim zamięłowaniem Śniatyńscy, i pomimo całego szacunku dla tych ludzi (ocena z punktu widzenia dobra ogółu) czuć się mimowoli większym od nich <sup>2)</sup>, z drugiej czyni ten marny pod względem charakteru typ, interesującym dla czytelnika, interesującym o tyle, że można go było wydzwignąć na bohatera powieści nie w stylu Zoli...

Jest on niedoszłym poetą, jak Manfred i hr. Henryk, niedoszłym filozofem jak Hamlet. Dla czego niedoszłym? Może nie tyle dla braku przyrodzonego uzdolnienia ile dla braku tego, bez czego żaden talent nie może się rozwinąć—dla braku pracy nad sobą. Płoszowski jest nawskroś dyletantem. Dylentantyzm ten świeci przez wszystkie popsute lub nieściągnięte szwy jego sukienki filozoficznej, w czém się nie różni zresztą od pokolenia, wśród którego wyrósł; dylentantyzm wygląda z jego sądów o sztuce, w których jednak dodatnio wyróżnia się od swego pokolenia tym wrodzonym i wpojonym przez wychowanie smakiem, co nie pozwala mu iść za modą dziwacznych szkół i doktryn estetycznych.

---

<sup>1)</sup> Constant Martha. *Le Poëme de Lucrèce*, str. 334.

<sup>2)</sup> „Nie po raz pierwszy przychodzi mi zadać sobie pytanie, czy Śniatyński jest głupszy, czy też mądrzejszy ode mnie?”

Gdyby nie ta cecha, gdyby nie ta jego szczerłość w filozoficzném i estetyczném pojmowaniu życia, nie różnił by się niczém Płoszowski od przeciętnéj jednostki inteligentnéj, płynącéj za falą, udającéj wiarę tam, gdzie to popłaca, sceptycyzm — gdzie się tém popisać można, w gruncie zaś obojętnéj na wszystko, w nic nie wierzącéj, do niczego nie dążącéj, zamkniętéj w ciasném kole egoizmu osobnikowego lub rodzinnego, nie śmiącéj przekroczyć przepisów ogólnie przyjętych przez obawę opinii, nawet wtedy, gdy osobiste instynkta popychają ku temu, a jednostajność życia urozmaicającéj kućlem piwa lub partią szachów, rowerem lub gorączką pieniężną.

Przeciwnie, gdyby Płoszowski miał rzeczywisty geniusz, lub gdyby nie zadawałniając się dyletantyzmem (do przewyciężenia którego przeszkadzał mu brak woli), pracą i wytrwałością był rozwinał te tkwiące gdzieś w głębi jego ducha zawiązki talentu, — nie byłby Płoszowskim. Zostałby Sienkiewiczem lub Feuerbachem, Byronem lub Schopenhauerem <sup>1)</sup>. Albo siła twórcza przełamałaby trudności formy i wylała się w potoku poezyi; albo myśl syntetyczna zwyciężyłaby żrącą analizę półwiedzy i stworzyłaby systemat filozoficzny. Nie stać na to Płoszowskiego i rozdwojenie spowodowane sprzecznością pomiędzy naturalném poczuciem piękna i pragnieniem harmonii, a owym sklejonym z ochłapów wiedzy poglądem na świat, zwiększa jeszcze niemoc duchową, w której i bez tego jest pogrążony.

Wspominaliśmy przed chwilą, że Płoszowski pragnąłby przedłużyć życie po za deską grobową; teraz, kończąc intelektualną charakterystykę jego, w której mimowoli zmuszeni byliśmy wtargnąć i w inne zakresy ducha, wypada nam jeszcze bliżej rozpatrzyć wierzenia a raczej niewiarę jego na tym punkcie.

„Ludzie połączeni w społeczeństwo, mówi Pytagoras według Jamblicha, mają rozmaite zajęcia. Jednych unosi nieprzewyciężony pociąg ku przyjemnościom i bogactwu; innych opanowyywa ambicya władzy i zaszczytów; lecz najwyższym celem człowieka, któremu oddając się, zasługuje na nazwę filozofa, jest kontemplacya piękności świata.” Płoszowski w swoich aspiracyach do filozoficznego pojmowania świata, jest jednocześnie i niższy i wyższy od tego greckiego ideału bezinteresownéj kontemplacyi. Niższy o tyle, że aspiracye te rozbijają się u niego o pierwszą napotkaną przeszkodę; że nietylko życia całego, ale nawet cokolwiek wytrwałéj pracy, która byłaby wy-

---

<sup>1)</sup> Płoszowski wykazuje świadomość tego, mówiąc: „Tacy ludzie jak ja, nie stanowią tylko wtedy minusów, jeśli nie należą do kategorii geniuszów bez teki, t. j. jeśli są wielkimi uczonymi lub wielkimi artystami.”

dźwignęła go z tej toni zwątpień, poświęcić im nie potrafił; niższym wreszcie dlatego, że nigdy nie zapomina o swoim „ja”, że to maleńkie „ja” gotów jest wtrącić do najwspanialszych i największych zjawisk przyrody, że nigdy nie jest widzem zupełnie obiektywnym. Wyższym — o tyle, że nie mając dość siły ducha, aby zostać filozofem, nie zadowalnia się rolą nieczynnego dyletanta widza, na wzór tego typu „wyższego człowieka” lub „obywatela upadku”, o którym była mowa przed chwilą. Jest wszechstronnym, jest „człowiekiem” a interesa życiowe, chociaż nie mogą wprawić w energiczniejszy ruch popsutych sprężyn jego maszyny duchowej, nie przestają go zajmować i pociągać ku sobie. To też i w filozofowaniach swoich o rzeczach nadzmysłowych nie jest on czystym teoretykiem, a gdy rozprawia o nich, można doń zastosować i to z większą słusnością parafrazę jego własnych słów, zwróconych w myśli do rzeźbiarza Łukomskiego: Więc taki to z ciebie filozof?

„Bywają epoki, że obojętniej na podobne pytania, czasem jednak targają mnie one bez miłosierdzia — témbardziej, że to są rzeczy, które się w sobie zamyka. Byłoby może lepiej o nich nie myśleć, ale zbyt są na to ważne. Bo ostatecznie człowiek chce wiedzieć, co go oczekuje i jak ma życie urządzić.” Tu się właśnie odezwał głos z parafialnej kruchty: filozof znikł wobec wyrachowanego mieszczucha, który zadaje sobie pytania: czy naprawdę mam się bać piekła? czy opłaci się być enotliwym w życiu?

Dziwne losy w dziejach ludzkości przechodziło owo straszne, wobec wszystkich pokoleń otworem stojące, jak czarna niezgłębiona jaskinia pytanie — co będzie po śmierci? W starożytności strach śmierci usiłowano zażegnać dowodzeniem, że nic nie będzie; człowieka zaś współczesnego najwięcej przeraża właśnie obawa owej nicości.

Lukrecyusz, który wśląd idąc za mistrzem swoim Epikurem, za główne zadanie filozofii postawił przewyciężenie „strachu Acherona, zakłócającego do głębi życie ludzkie” <sup>1)</sup>, poświęcił mu całą trzecią księgę poematu swego. I w jakim sposób spełnia to zadanie?

„Czytałem i odczytywałem trzeci śpiew Lukrecyusza”, pisze Fryderyk II-gi w krytycznej chwili podczas wojny siedmioletniej, „znałem w niej tylko konieczność złego i bezużyteczność lekarstwa.” — Takie wrażenie robi na umysłach współczesnych owa filozofia nicości, nicości, w którą, jak powiada historyk jego <sup>2)</sup> „rozmiłowany jest Lu-

<sup>1)</sup> „Et metus ille foras praeceps Acherontis agendus Funditus, humanam qui vitam turbat ab imo.” De natura rerum III, 39.

<sup>2)</sup> Martha, I. c. str. 170.

kretyusz, tak jak inni mogą kochać nieśmiertelność.” I nie sam tylko Lukrecyusz.

„Filozofowie owego czasu wykazują ustawicznie zdziwienie z powodu trudności przekonania ludzi, że śmierć, zupełne zniszczenie, nie jest złem. Zdziwienie to świadczy o oporze jaki spotykali. Pliniusz, którego świadectwo nie jest podejrzané, gdyż sam był epikurejczykiem, mówi o tym oporze w wyrazach pełnych ironii: „nasza śmiertelność cheiwa jest wiecznego życia — *avida nunquam desinere mortalitas*.” Jeszcze wyraźniej zaznacza Seneka uczucia współczesnych: „Boją się zarówno dostać się do piekła, jak nie być nigdzie — *aeque timent ne apud inferos sint, quam ne usquam*” <sup>1)</sup>.

Widzimy z tych cytát, że nawet i w owéj typowéj dobie dekadentyzmu nie wszyscy byli jednakowo obojętni na śmierć. Płoszowski, który nie był ani dość epikurejczykiem „aby wobec ślepej konieczności postąpić jak marynarze zagrożeni burzą, gdy nie widząc możności walki z nią zamykają się w swoim okręcie, pozostawionym jak łupina na igraszkę fal, a oddają się śpiewom i winu, aby uniknąć jeśli nie głębiny, to przynajmniej jéj strachu” <sup>2)</sup> — bo dusza jego jest zanadto pełna „gotyckich strzelistości”; ani téż nie posiadał rezygnacyi stoików, aby razem z Seneką powiedzieć: „Spełniam więcéj niż akt posłuszeństwa Bogu — zgadzam się na jego rozkazy; jestem mu posłuszny z całego serca nie dlatego tylko, że to jest konieczne” <sup>3)</sup>. Płoszowski, powiadam, stał jedną nogą na stanowisku tych zniechęconych dekadentów, zbyt poważnych lub zbyt przesyconych, aby po upadku wolności politycznej Rzymu cośkolwiek mogło ich przykuwać do życia, drugą na stanowisku dziecka, które w znacznym stopniu znudziły już wprowadzie dotychczasowe zabawki, ale które nie utraciło jeszcze ochoty do zabawy i chciałoby mieć nadzieję lepszą niż dotychczas.

Jest jedna wielka myśl tkwiąca w podstawie idei nieśmiertelności w chrześcijańskim jéj znaczeniu, jedno głębokie i zupełnie uprawnione uczucie, z którego ta idea płynie. Ideą tą — myśl o wynagrodzeniu krzywd tego życia, uczuciem — pragnienie sprawiedliwości. Im boleśniej odczuwamy cierpienia i krzywdy, które spadły za życia na umierającego, im czelniejszą okazuje się w tém życiu bezkarność wy-

<sup>1)</sup> Martha, l. c., str. 125.

<sup>2)</sup> Martha, str. 169.

<sup>3)</sup> Renan, którego poglądy stanowią dziwną mieszaninę stoicyzmu z epikureizmem, jak to przystoi na współczesnego schyłkowca, wkłada te słowa w usta umierającego Prospera, parafrazując je w modlitwę: „Istoto wieczna i dobra, dzięki Ci za istnienie. Współdziałałem we wszystkich twych dziełach, służyłem wszystkim Twym celom. Błogosławię Ci.” (*L'Equ de Jouvence*, p. 247).

uzdanęj zbrodni, tém silniej wierzyć pragniemy i wierzymy szczerze przynajmniej w tych chwilach, w inne życie, w którem cierpiący tutaj znajdzie ukojenie, a zuchwały zbrodniarz karę. Uczucie to i wiara z niego płynąca, przybierają szczególną potęgę, gdy tracimy kogoś z blizkich lub gdy myślimy o tych, którzy z naszej winy cierpieli, a którym nie zdążyliśmy wynagrodzić w życiu tych cierpień. Ale idea nieśmiertelności najmniej przemawia do Płoszowskiego tą wzniosłą stroną swoją. Nie pojął on jęj, tak jak rozminął się z nią podwójnie jego twórca, gdy w „Pójdźmy za nim” chciał z nieśmiertelności uczynić główną podstawę chrześcijaństwa, a ideę tę ściągnął do tego samego poziomu co i bohater z „Bez dogmatu.” Temu ostatniemu idzie głównie o to, czy życie dla niego po za grobem będzie takim samym światem, jak tu na ziemi? Podobny do dziecka żałującego, że niema siedmiu świąt w tygodniu, Płoszowski chciałby w przyszłym życiu mieć dalszy ciąg swoich „godzin sali”, oczkować z aniołami i kokietować chociażby przed Bogiem. Wszak i na twarzy ojca w chwili konania czytał niezłomne przekonanie, że go tam nie przyjmą, jak byle kogo!

I Manfred i hr. Henryk zatrzymują się wobec tego wielkiego zagadnienia, ale żaden z nich nie wgląda tak bojaźliwie w nieznana przyszłość, jak Płoszowski.

„Widzę ją — mówi hr. Henryk, stojąc nad otehlanią, w którą ma się rzucić — całą czarną, obszarami ciemności płynącą do mnie, wieczność moją, bez brzegów, bez wysep, bez końca — a pośrodku jęj Bóg, jak słońce co się wiecznie pali — wiecznie jaśnieje — a nic nie oświeca.”

A ostatnie jego słowa są:

„Poezyo, bądź mi przeklęta, jako sam będę na wieki. — Ramiona idźcie i przerzynajcie te wały.

Manfred w monologu przypominającym nieco znakomity Hamletowski: „*To be, or not to be*” wynurza się w ten sposób:

*In all the days of past and futur...  
How few — how less than few — wherein the soul  
Forbears to pant for death, and yet draws back  
As from a stream in winter, though the chill  
Be but a moments'.*

(„Ze wszystkich dni przeszłych i przyszłych, jak mało, jak mniej niż mało takich, w których dusza może się obronić od tęsknoty za śmiercią, a jednak cofa się przed nią, jak przed potokiem w zimie, chociaż chłód trwałby tylko chwilę”). I on stawia sobie pytanie, co bę-

dzie za grobem? i gotów je postawić chociażby odpowiedzią był sam grób.

Ale gdy zatrzymuje się nad tém, najwięcej go obchodzi, czém jest jego ukochana Astarte:

Czém teraz jest? Czy pokutnicą za moje winy,  
Istotą, o której myśleć nie śmiem — czy niczém? <sup>1)</sup>

A gdy w ostatniej godzinie żegna się z słońcem, mówi prosto:  
*„He is gone: I follow. — Zaszło — idę za nim.”*

Cały ten maluczki strach śmierci, stanowiący zupełnie nową formację w naszej literaturze pięknej, a który z takim mistrzostwem analizy roztoczył przed nami w szkicu swoim p. Ign. Dąbrowski, skądże płynie, jeśli nie z owego skupienia wszystkiego na własnej osobie, z tego wyjęcia swojego *ja* do potwornej wielkości, przesłaniającej świat cały? Zrozumiałym jest naiwny egoizm młodzieńca, który jeszcze prawie nie żył, dla którego wszystko było w przyszłości; jego żal za niespełnionemi nadziejami, ledwie wysnutemi marzeniami, niewykonanymi planami... Ale dla tego sceptyka przeżytego — także „świat zapada się” z nim razem.

Płoszowski bierze nieśmiertelność z najsłabszej strony; ależ każdy człowiek z sercem mógłby odpowiedzieć na jego utyskiwania:

„I cóż z tego, że mnie nie będzie? Żyłem! A jeśli mogłem jeszcze zostawić po sobie coś dla ludzkości — to czy warto suszyć sobie głowę o to, co będzie po śmierci? Samolubna i jałowa ciekawość, do niczego nie prowadząca, bo nie od nas zależy cokolwiek w tém zmienić. Czyż uczciwym mam być jedynie po to, by uzyskać nagrodę, tak jak dziecko bywa grzeczne w nadziei łakoci? Wszak w najlepszym razie, — jeśli przyjmę nieśmiertelną osobowość w duchu najbardziej kojących nadziei — nie będę tém czém jestem: nie będę tak czuł, tak myślał, jak obecnie, inne będą przywiązania, inne cele moje, będę się czuł obcym tym śmiertelnikom, których tu porzucam, którzy mi są drodzy... Wszak i tak będę miał dość powodów, aby wykrzyknąć razem z Achillesem: „wolę być parobkiem na ziemi, niż królem w państwie cieniów”; aby wśladać za Pope’em powtórzyć:

„Nierozsądny człowieku! chcesz w niebie zapłaty  
Podobnej tym próżnościom, w któreś tu bogaty?  
Dzieckiem, później mężczyzną — jedna jest osoba?  
A czyż to samo cacko dziś ci się podoba?

---

<sup>1)</sup> *What is she now? — a sufferer for my sins —  
A thing I dare not think upon — or nothing.*

(Akt II, Sc. 2).

Może jak Indyanin chcesz ożyć po zgonie  
Z twym psem, z twoją butelką i przy lubej żonie? <sup>1)</sup>

— Skarżysz się, że nie masz podstaw, któreby ci wystarczyły w godzinie śmierci? Ale czyż warto tak dbać o tę jedną godzinę? Czy nie lepiej by pomyśleć o podstawach, któreby starczyły na wszystkie nodziny życia, nie na tę jedną tylko? Czy mamy na wzór przesycokych sybarytów dekadentyzmu starożytnego robić z całej filozofii sztukę eleganckiego umierania? Nie możemy nic poradzić na to, co będzie po śmierci, ale od nas zależy obrać piękną śmierć, śmierć, która zadowolni w nas i artystę i moralistę — a wtedy nie będziemy potrzebowali przygotowywać się do niej filozofią całego życia.

Na uczucie miłości składają się bardzo liczne pierwiastki a przewaga tych lub owych służy za doskonały probierz charakteru moralnego jednostki. Jeśli zostawimy na uboczu niższe żądze, wchodzące w skład tego uczucia, to czysto psychologiczne jego składniki możemy uważać za należące do dwóch kategorii: czynników estetycznych, t. j. nieświadomego i nieprzewycięzonego wrażenia, które piękno wywiera na zmysły i moralnych t. j. tych, których siła pociągająca polega na ocenie charakteru moralnego lub położenia ukochanej istoty. Im większa rola w miłości przypada zmysłom, tém bardziej przedmiot jój jest „upragniony”, gdyż nie jest ona czystą, estetyczną kontemplacją prawdziwego poety-artysty, lecz raczej da się porównać z zazdrosną chciwością zbieracza pseudo-estetyka; przeciwnie, im mniej samolubną jest miłość, im mniejszy w nią udział bierze egoizm, tém przedmiot jój jest bardziej „ukochany”, tém chętniej zdobywamy się na poświęcenie się dla niego. Pierwszy rodzaj uczucia budzi się najczęściej w naturach płytkich moralnie a czepia się najchętniej powodzenia i blasku; drugi świadczy o naturze głębszej uczuciowo i szuka przedmiotu swego w zaciszu; czasem nawet czyjeś cierpienie zasłużone lub nie, nieszczęście i t. d. stają się źródłem miłości dla podobnych natur.

Płoszowski jest, jak sam mówi o sobie, istotą bardzo złożoną, taką też jest i miłość jego; ale rozglądając się w nią uważniej, łatwo dostrzeżemy ogromną przewagę czynników estetycznych i samolubnych.

Przypomnijmy sobie pojedyncze momenta roztaczającego się w powieści dramatu.

---

<sup>1)</sup> Wiersz o człowieku przekład Ludwika Kamińskiego (Wybór poezyi Popea. Warszawa, 1822.

Płoszowski spotyka się z Anielką na balu. Nie tak potężnie nie wpływa na postępowanie i charakter miłości, zwłaszcza w naturach poetyckich, jak pierwsze spotkanie. Owo pierwsze spotkanie było doskonale obmyślane przez matkę Anielki, której tajemnicę zdradza ciotka.

„Ślicznie jęć w tych fiołkach! Ha! może to i dobra była myśl, żeby ją na balu pierwszy raz zobaczył!”

Ale grunt tu nie we fiołkach ani w balowym stroju, który, mówiąc nawiasem, rzadko upiększa kobietę, tylko w tém całym otoczeniu sztuczném, w téj atmosferze balowej, odrywającej człowieka od rzeczywistości i podniecającej fantazję. Płoszowskiego, tego typowego pseudoestetyka, nie wzruszyła by, jak Ulissesa, piękna królewna Nauzykaa, zajęta praniem szat na brzegu morskim.

Wszystko składa się na zbliżenie Leona z Anielką: i ta poufałość, do której upoważnia blizkie kuzynostwo, i urok zupełnej nowości — gdyż Anielkę znał Płoszowski poprzednio jako małe dziecko, i ta poczciwość pozornie czysto braterskiego stosunku, który zdaje się mówić do obojga: „czy tak czy inaczej, mam prawo i powinienem kochać.” Wprawdzie Płoszowski, jak wszyscy ludzie bez charakteru, jest kapryśny i przekorny; „nie lubi by go pytać”, chociaż jak sam mówi gdzieś indziej, „zmysły prowadziły go zawsze tam, gdzie im się podobało.” Więc i tu zamiary ciotki zbyt widocznie stają pozornie (w jego oczach) jako przeszkoda; w gruncie jednak tylko więcej zachęcają i budzą jego ciekawość: już przed spotkaniem zastanawiał się nad pytaniem: gdzie jest ta doskonałość, którą uszczęśliwić go chce ciotka. A co najwięcej go zwycięża, to sympatya dlań Anielki, która jest jak najlepiej względem niego uprzedzona i uważa go prawie za przeznaczonego jęć na męża, owa bezwiedna kokietera, „śliczna, bo płynąca z rozradowanego serca, które chce się przypodobać drugiemu wybranemu sercu.”

Miłość szybko rośnie; bliskość i zacisze wiejskie sprzyjają jęć. Widok szczęścia domowego Śniatyńskich — młodego kochającego się małżeństwa i energiczne namowy jego <sup>1)</sup> już popychają Płoszowskiego

---

<sup>1)</sup> ... Na wagę złota ją bierz! co to na wagę złota! — na karaty — rozumiesz! Ty nie masz poprostu stałego miejsca zamieszkania, nietylko pod względem fizycznym, ale umysłowym i moralnym; nie masz podstaw, nie masz spokoju — ona ci to wszystko da. Tylko jęć nie przełożofuj, jak przełożofowałeś swoje zdolności i swoje trzydzieści pięć lat życia!”

Po takim energiczném napędzaniu powziął Płoszowski chwilowe postanowienie:

— Nie, jęć nie przełożofuję bo ją kocham. I odprowadzając Anielkę do

do stanowczego kroku, ale, jako człowiek słaby, odkłada do jutra. Tymczasem w chwili, gdy uczucie jego, poparte rozumowaniami Śniatyńskiego, dochodzi do najwyższego punktu, wiadomość o chorobie ojca nagle wzywa go do Rzymu. W krótkim czasie ojciec jego umiera. Smutny ten wypadek był by dla każdego innego powodem zapewne do odłożenia planów matrymonialnych, ale nie do ich porzucenia na zawsze. Przeciwnie, może właśnie smutek i poczucie samotności jeszcze więcej pobudziły by do szukania współczucia i podpory ze strony kochającej i ukochanej duszy, a koniec pierwszego tomu był by dla każdego innego końcem powieści. Ale nie dla Płoszowskiego. Też same uczucia popychają go właśnie w przeciwną stronę, w objęcia zmysłowej kobiety, pozbawionej wszelkiej wartości moralnej, dla której czuje pogardę, przebijającą się w każdym o nią słowie, i rozdrażnienie jako na przyczynę swego upadku, prowadzące go aż do niesprawiedliwości względem niej. Ta haniebna niewola dobrowolnie przyjęta dezoryentuje go zupełnie i niweczy w nim te ostatnie ślady woli, których nie zniszczyło przygnębienie po śmierci ojca. „Zatraca się we mnie poczucie dobrego i złego” pisze on w tym czasie. „Przypuśćmy, że jesteś gorszy niż byłeś; dla czegoż masz męczyć się z jakiegokolwiek powodu?” Kapryśną miłość własną jego podnieca list ciotki, która niezręcznie wspomina o zamiarach Kromickiego względem Anielki, domagając się stanowczej odpowiedzi od Leona. Pod chwilowem wrażeniem rozdrażnienia, w tej obojętności na wszystko, w którą wtrąciło go poczucie upadku moralnego, odpowiada Płoszowski, że „życzy Anielce szczęścia z Kromickim.” I ta odpowiedź była by zrozumiałą w ustach kogo innego: po epizodzie z Davisową człowiek, który „nie utracił poczucia dobrego i złego”, nie miał by odwagi mówić Anielce o swojej miłości; wyrzeczenie się jej było by naturalnym wynikiem winy względem niej i znowuż punkt ten był by punktem końcowym powieści. Inaczej jednak z Płoszowskim — on, który się sprzeniewierzył Anielce w tak haniebny sposób, który pozostawia ją przez parę miesięcy bez żadnej wiadomości o sobie, dręczoną smutkiem za nim i niepokojem oń, ten Płoszowski, czuje się jeszcze obrażonym tém, że ciotka mu pisze o zalotach Kromickiego, któremu zresztą bynajmniej nie sprzyja Anielka, z upragnieniem oczekująca od Leona tak znacząco przyrzeczonego stanowczego słowa. Ta rada jego jest

---

domu całuję ją, a później w sposób bardzo przejrzysty zapowiada oświadczyzny na jutro, sam zaś pisze w swoim dzienniku: „Mam uczucie człowieka, który przyciska sobie palcami oczy, uszy i nozdrza, aby dać nurka w głębinę.” — Tylko że ten człowiek nigdy nie ma odwagi oddać się temu uczuciu i zanurzyć się istotnie.

objawem kaprysu, miłości własnej podrażnionej złą myślą, że może Anielka waży Kromickiego na tój samój szali co i jego. Dopiero wiadomość, że Anielka, wzięwszy do serca jego radę, dała słowo Kromickiemu, galwanizuje go chwilowo—ale znowuż tylko chwilowo: w naturze Płoszowskiego jest coś takiego, co mu każe robić tylko pół kroku nawet tam, gdzie inny nie potrafił by posunąć się mniej jak o cały. Zamiast tego, żeby pojechać natychmiast, przeprosić i przejednać sobie Anielkę, zmusić ją przez osobiste widzenie do cofnięcia nierozsądnego przyrzeczenia, co by był niezawodnie uczynił każdy w takich okolicznościach, Leon posługuje się pośrednictwem telegrafu i Śniatyńskiego. Płoszowskiemu wciąż chce się, żeby inni nie tylko robili za niego <sup>1)</sup>, ale za niego chcieli i domyślali się prawdziwych jego pragnień z poza sprzecznych wygłoszonych przezeń zdań i uczuć. Kiedy te kroki a raczej półkroki nie doprowadzają do niczego, Płoszowski leczę się na zmartwienia miłości tak, jak zwykle leczą na wszelkie zmartwienia ludzie bogaci, t. j. za pomocą podróży. Później, jak wszyscy ludzie skłonni do kompromisów, zadaje sobie „czysto teoretyczne” pytanie, czy miał by prawo sprowadzić panią Kromicką z drogi enoty, a następnie, nie rozwiązawszy go teoretycznie, przyjeżdża do Płoszowa (gdzie w nieobecności męża bawi Anielka z matką) szukać szczęścia na drodze prób praktycznych. Tu zaczyna się ów ciężki i niski—bo pozbawiony wszelkiego wyższego tragizmu dramat,—kończący się jednak moralnóm odrodzeniem Płoszowskiego.

Wytrwałość Anielki przy swych zasadach ma skutek dwojaki. Najprzód, doprowadzając Płoszowskiego do egzasperacyi, każe mu uciec się do wszystkich zasobów swego sprężystego umysłu, aby uzyskać jeśli nie to, co pierwotnie uważał za ostateczny cel swoich zabiegów, to przynajmniej jakiś możliwy *modus vivendi*, a w tych zabiegach wykazuje, że wcale nie jest pozbawiony potrzebnych w walce życiowej uzdolnień. Obluzowany mechanizm duchowy tego człowieka, w którym żadna zdrowa sprężyna nie mogła dojść do stanu napięcia, potrzebnego dla wywołania ruchu, teraz, podrażniony oporem, wykazuje niezwykłą ruchliwość i doskonale dopasowanie do siebie wszystkich części. Poprawność tego działania budzi w Płoszowskim i „szczęścia mistrza, który czuje, że mu się arcydzieło udaje, ...i zadowolenie pająka, pewnego, że mucha wpadnie w jego sieci.” Wszystkie te wyrachowania i zabiegi rozbijają się jednak o niezachwiane zasady Anielki, jak morskie fale o granitową skałę. Ów „mistrz i pająk”, który nie mając żadnych zasad, nie wierzył w istnienie podobnej niezłomności

---

<sup>1)</sup> „Słabe charaktery potrzebują nieskończonych ułatwień”—pisze on.

i dla tego nie wziął jój w rachubę, zostaje zwyciężony zawsze i tém mocniej wije się w mękach niepowodzenia, im pewniejszym był zwycięstwa.

Ale jednocześnie opór Anielki budzi w nim coraz większą cześć dla niej, coraz to uszlachetnia jego miłość, podnosi ją i z mieszaniny kaprysu, zmysłowych popędów, miłości własnej i estetycznego pociągu wydziela czyste etyczne ziarno, oczyszcza to złote jądło, które, według słów Śniatyńskiego, kryło się w sercu Leona pod skorupą kwareu. Anielka była pierwszą znaczą młoda kobieta, którą spotykał w życiu.

Kochała go — nie wątpił o tém. Wobec tego jój opór zdaje mu się z początku niemożliwym, później niezrozumiałym, niedorzecznym — wywołuje on szereg ironicznych uwag nad „prostotą duszy kobiet” zadawalniających się „dziesięciorgiem” i „kodeksem ucziwój Magdy”, przez które jednak dobrze prześwieca ów pogląd lisa na zbyt wysoki gołębnik, tak często występujący w jego sądach o kobietach — ale mimo to wszystko nie może nie kochać jój i nie czcić coraz więcej.

Ubożnieniem następstwem tego wszystkiego jest szereg mniej lub więcej cynicznych, mniej lub więcej rzewnych ustępów w jego dzienniku, zapelniających dwa ostatnie tomy powieści, a w których umysł jego umiejący „zawiesić się na każdym przedmiocie, jak małpa zawieszona ogonem na gałęzi — i wywracać koziołki”, odesłania nam całą chwiejność i bezwyznaniowość moralną, stanowiącą bardzo ciekawy okaz etyki „bezdogmatycznej”...

„Mogłem stać się twojem szczęściem, a stałem się nieszczęściem — i ja to jestem przyczyną twój śmierci, bo gdybym był innym człowiekiem, gdyby mi nie brakło wszystkich podstaw życiowych — nie przyszły by na ciebie te wstrząśnienia, które cię zabiły.

„Jam to już podczas ostatnich twych chwil na świecie zrozumiał i przyrzekłem sobie, że pójdę za Tobą...

„A czy Ty myślisz, że ja się śmierci nie boję? Boję się; ponieważ nie wiem, co tam jest, i widzę tylko ciemność bez granic, przed którą się wzdrygam. Nie wiem, czy tam jest coś, czy jakiś byt bez przestrzeni i czasu, czy może jakiś wieher międzyplanetarny unosi monadę duchową z gwiazdy na gwiazdę i wszczepia ją w coraz nowe istnienia...

„Ale jeśliś Ty przez moje „niewiem” umarła — jakże ja mam tu ostać i żyć?

„Więc im bardziej się boję, im bardziej nie wiem, tembardziej nie mogę Cię tam samą puścić — nie mogę moja Anielko i iść”...

W tych ostatnich chwilach staje Płoszowski na wysokości tragicznej godnej Manfreda, do którego znowu zbliża się tém, że jak tamten jest

przyczyną śmierci swojej ukochanej, że jak tamten zabija ją miłością swoją. Jakie podobieństwo, ale i jakaż różnica pomiędzy tylko co przytoczonym ustępem a temi prostemi i silnemi słowy z monologu Manfreda: „Gdybym nie był nigdy żył, ta którą kocham była by przy życiu; gdybym nie był kochał, ta którą kocham była by wciąż piękną, szczęśliwą i darzącą szczęściem” <sup>1)</sup>. Manfred poszedł do piekła, aby jeśli nie wydrzeć królestwu śmierci kochankę swoją, to przynajmniej ujrzeć ją; Płoszowski umie tylko pójść w jej ślady...

Tak apoteozują się ostatecznie uczucia Płoszowskiego; dusza jego stopniowo oczyszcza się. Jak Poza staje się dla Karlosa tłumaczem jego miłości i od Królowej stopniowo odwraca uczucia jego ku pogrzebionej mieczem i stosami Alby Flandryi, tak Anielka, tłumaczy Płoszowskiemu miłość jego, a chociaż nie uczyni zeń bohatera, podnosi go jednak do godności człowieka szczerze kochającego. Z początku, gdy swoim dobrotliwym wpływem usiłuje go wyprowadzić z owego zaczarowanego koła ustawicznego czyhania i podstępów, jemu się zdaje, że go wyprowadzają w pole, a gdy następuje w nim ostatni przełom — śmierć dawnego Płoszowskiego — zdaje mu się, że to już koniec jego istoty; ale teraz właśnie odrodzony i oczyszczony wraca do niej z lepszym uczuciem i z tym uczuciem idzie za nią w wieczność.

Tak gdy bóg, zerwawszy wnet z ziemskością  
I ludzkiego zbywszy się okrycia  
W szlak eteru promieniejąc wpada —  
Lot niezwyklej go radością,  
Płynie wzwyż — a sen ponury życia  
Coraz niżej... niżej... w dół opada.

(Schiller. Ideał i życie).

Jeśli pominiemy tę ostatnią fazę miłości Płoszowskiego, w którą wznosi się ona na etyczne wyżyny, to w całym jej poprzednim przebiegu zauważymy ogromną przewagę czynników niższych estetycznych a raczej pseudo-estetycznych.

Miłość jego zależy zupełnie od dekoracji, wśród jakich widzi Anielkę; bierze go za serce, gdy ukazuje się w błękitnym świetle ranka po skończonym balu, a „psuje mu ją”, ciotka, opowiadając o zalotach

<sup>1)</sup> *If I had never lived, that which I love  
Had still been living; had I never loved  
That which I love would still be beautiful  
Happy and giving happiness.*

(Akt II, Sc. 2).

Kromickiego. Wogóle podobny jest w tym względzie do uczniaka, który rozczarowuje się w swoim ideale, zobaczywszy rozpruty bucik lub płamę na sukience. Lecz i do tego estetycznego uczucia nie podnosi się Płoszowski odrazu: pierwsze jego myśli są znowuż „poglądem lisa na gołębnik”. „Aeh żeby ona miała lat trzydzieści i nie była panną, z którą mnie swatają!” — takim wykrzyknikiem kończy opis pierwszego spotkania. Dopiero gdy ją odjechał, błękitna mgła oddalenia przesłania rzeczywistość, naturalna idealizacya uczuciowa robi mu z niej „więcej ukochaną duszę a mniej upragnioną kobietę”, ale też uczucie to również szybko słabnie jak i idealizuje się: elizejski cień Anielki, zachowany w pamięci, musi ustąpić wobec rzeczywistości w postaci Dawisowój.

Płoszowski jest naturą wysoce wrażliwą w zakresie taktu psychologicznego; posiada on wiele poczucia delikatności i przyzwoitości moralnej, i te to cechy ma niezawodnie na myśli, mówiąc o sobie, że wrażliwość estetyczna... chroni go od cynizmu czyli od ostatecznego zepsucia;—w jakim stosunku zostaje ta właściwość do „bezwzględnej piękności jako egoizmu” wcielonego w Dawisowój i czy może ona zastąpić etykę, o tém powiemy niebawem kilka słów. Wrażliwość ta nie pozwala Płoszowskiemu oświadczyć się Anielce po otrzymaniu wiadomości o chorobie ojca; tak przynajmniej sam tłumaczy ową zwłokę: „Było by czémś przeciwném naturze i cyniczném z mojej strony szeptać czułe słowa, nie wiedząc czy właśnie w téj chwili ojciec nie wydaje ostatniego tchnienia”. Takie usprawiedliwienie zawiera jednak tylko połowę prawdy; Płoszowski jako człowiek ogarnięty wprost panicznym strachem wobec jakiegokolwiek bądź postanowienia, obawiający się nadewszystko „zatrzaśnięcia klamki”, rad oczywiście ze sposobności, która mu pozwala odroczyć tę straszną chwilę. Nie mamy jednak powodu nie wierzyć mu, iżby i przytoczony przezeń skrupuł nie odegrał w tém swojej roli; a w takim razie służy tylko za wyraźny dowód tego jak lekkomyślnie i płocho pojmował Leon miłość w tym jej pierwszym okresie. Gdyby ją brał nawet ze strony czysto estetycznej, ale prawdziwie estetycznej, gdyby była dlań taką świętością jak sztuka dla artysty; nie wydała by mu się cyniczną mowa o niej nawet w najgroźniejszej chwili, tak samo jak nie raziała by modlitwa płynąca w podobnej chwili z ust wierzącego. Zapewne, że w tych okolicznościach inaczej by mówił o niej niż w zwykłych. Ale dla Płoszowskiego miłość nieodłącznie była od „czułych szeptów” i całej téj fałszywej sceneryi, której się nauczył w swoich „godzinach sali”. Patrząc przytem na świat przez odwrócone szkła swego dziecinnego egoizmu, który mu oddalał i czynił małym wszystko, co nie wiązało się bezpośrednio z je-

go przyjemnością, wyprowadza on taką filozofią, „że wojownik, kanclerz państwa, kupiec, bankier, rolnik” pracują jedynie na to „by usta Hermana spoczęły na ustach Dorotei!” Nie przychodziła mu na myśl, pod formą poważnego postanowienia związania na zawsze życia swego z życiem innéj istoty w otoczeniu całego szeregu obowiązków, wkładanych na siebie, obowiązków przedewszystkiém względem rodziny i ojca, który za kilka dni miał wykrzyknąć:

— Cobym dał, gdybym mógł jeszcze tak samo uściskać synowé! Dalej względem Anielki i społeczeństwa, dla którego mógł by wychować kilku dzielniejszych od siebie potomków. Obowiązki te są tak ważne, że bynajmniej nie bledną wobec grozy śmierci. Czyż nie widzimy w życiu i na scenie par kochających się połączonych ręką umierającego, a kombinacya taka ani razi nas cynizmem ani się wydaje niestosowną: przeciwnie, groza śmierci kładzie piętno swojej powagi na miłość, podnosząc ją z estetycznie uczuciowego związku do wysokości etycznej.

Czyż naprawdę Leon nie mógł przewidzieć, jaką radość sprawiła by ojcu wiadomość o tém, że syn jego nareszcie przybił do tego, co nazywają portem życiowym? Czy z drugiej strony niewiadomość o stanie zdrowia ojca, konieczność wyjazdu na czas nieokreślony i prawdopodobieństwo odroczenia ślubu wskutek żałoby, nie były by pobudziły człowieka sumiennego na jego miejscu do związania siebie słowem, chociażby dla tego, żeby nie zostawiać Anielki w niepewności po tém przyrzeczeniu połowiczném czegoś stanowczego „na jutro?”

Ale nie tylko nie uczynił tego nawet z Rzymu, gdy zdrowie ojca chwilowo polepszyło się, gdy bawił się marzeniami o przyjeździe Anielki i ślubie w Rzymie—to tak dogodnie dla słabych natur: marzenia do niczego nie obowiązują, a namarzywszy się lub wygadawszy czują, że już zadość uczynili swojej potrzebie czynu—zaledwie zdobył się na pozdrowienie jég w przypisku do listu.

Gdyby pobudka do wstrzymania się z oświadczeniem, którą wystawił Leon, była prawdziwą i jedyną, to teraz właśnie nasuwała się doskonała sposobność naprawienia złego i wyprowadzenia Anielki z niepewności. Mógł by był napisać to, czego nie mógł powiedzieć, tém bardziej, że list służy za jedno z owych ułatwień, które według jego wyznania, tak potrzebne są dla natur słabych. Ale i na ten środek okazuje się za słabym: „Dziś zdarłem trzy lub cztery listy do Anielki. Po obiedzie poszedłem do pracowni ojca, by pomówić z nim o zamiarach ciotki.” — Te „zamiary ciotki” są wspaniałe; nieświadomie wykazuje tu Płoszowski, jak mało w grę wchodziła jego wola, jak mało przyzwyczaił się obierać ją za dźwignię dla swoich czynów.

Dla czegoż nie może się zdobyć na list, tak jak nie mógł się ...zdobyć na słowo kiedy chciał je wyrzec? Wszystkie ćwiczenia w „godzinach sali”, gdzie był tak pewnym siebie, nie pomogły mu nie w tej jednej godzinie gdzie szło o jego przyszłość. Dlaczego? Dla tej samej przyczyny, dla jakiej łatwiej być odważnym wobec floreta z guzikiem i w drucianej masce, niż wobec gołej szpady. „W godzinach sali” Leon urządzał sobie rozrywkę i wiedział, że mało go obejdzie jeśli ta rozrywka nie powiedzie się; tu kochał prawdziwie. W „godzinach sali” wszelkie wynurzenia miłosne do niczego go nie obowiązywały; tu szło o postanowienie na całe życie, przed wszelkiem zaś stanowczym postanowieniem czuł Leon dreszcz zgrozy, jak tehórz przed śmiercią. Co dla natury energicznej było by właśnie najsilniejszą pobudką — prawdziwość uczucia, ważność i stanowczość chwili — to na niego działało jak hamulec.

Zamiast więc napisać parę stanowczych słów do Anielki, zapisuje długie stronnice dziennika swojemi wahaniem i zwątpieniami lub trawi godziny na gawędziarstwie z Davisową, o której sam mówi, że „inteligencya jej nie jest inteligencyą duszy, lecz mózgu”, t. j. że ma tylko głowę umeblowaną pięknymi ideami, nie przenikającymi do serca — jak to zresztą i u nas często spotkać można — i że „na religię, sztukę, filozofią, literaturę patrzy jak na przybory toaletowe”, ale za to ma ciało Junony i męża zużytego morfinika, za którego poszła dla jego bogactw, albo jak naiwnie powtarza za nią Płoszowski „nie wprost dla jego milionów, ale dla tego, żeby za pomocą ich uczynić sobie życie, o ile w mocy ludzkiej, ozdobne. Ponieważ zaś potrzebuje on ciągle usprawiedliwiać się przed sobą z braku postanowienia, więc utraciwszy jeden powód wyszukuje nowy dla uzasadnienia swych wahań: zaczyna rozważać, czy ma prawo żenić się z Anielką, nie będąc pewny, że ją uszczęśliwi; godne szacunku zastanowienie, gdyby nie było tylko wybiegiem, po za którym ukrywa się jeszcze większa, bo rzeczywistayr twda zamiast urojonój, lub gdyby postawione było wcześniej.

Po śmierci ojca, nagle przerywającą tę „letnią kąpiel dyletantyzmu”, gdy ciotka przyjeżdża i z całą delikatnością kochającą ko bięty zaprasza go do Płoszowa, on widzi w tém „tylko chęć prowadzenia dalej swatów”, co oburza go wobec świeżej mogiły ojca. Oburzenie to jednak nie przeszkadza mu jechać z Davisami do Peli i tu niebawem znaleźć wcale nie idealnie-sielankową pociechę w osobie pani Davisowej.

Wprzód jeszcze nim to nastąpiło, analizując swoje uczucie dla Anielki pisze: „Śmierć ojca rozproszyła skupienie mego uczucia. Tak

samo było by na przykład gdybym pisał jakieś dzieło literackie i gdyby zewnętrzne a nieszczęśliwe wypadki oderwały mnie od niego". To porównanie jest bardzo charakterystyczne. Płoszowski jak i hr. Henryk ma zawsze w sobie widza i aktora. I w tym względzie jednak istnieje między nimi różnica. Pierwszy ma tak osłabione władze czynne, że nie czuje głębokiej różnicy pomiędzy marzeniem a życiem, miłość dla niego jest tylko „dziełem literackim"; to owo niepochwytne, a jednak tak silnie odczuwane przez każdą zdrową naturę, coś, które odróżnia fikcję od rzeczywistości, dla niego prawie nie istnieje. Hr. Henryk przeciwnie tak poetycznie odczuwa każde uderzenie rzeczywistości, że wydaje mu się jakoby tylko „dramat układał."

Zkąd to podobieństwo i zkąd różnica?

Przyczynę pierwszego już wyjaśniliśmy wyżej: ani jeden, ani drugi nie mają tego „zdrowego rozumu" filistrów, który ściśle odgranicza zakres „złudzeń" od zakresu rzeczywistości; granica ta zacięra się w nich tak dalece, że jedno zlewa się z drugim. Podobni są, bo obaj należą do jednego typu ludzi; różnica wynika ztąd, że należą do różnych pokoleń, że wychowali się w odmiennych warunkach dziejowych, pod wpływem niejednakowej filozofii. Henryk był dzieckiem epoki romantyków i idealistów, dla których idea była wszystkiem; poezya, na której się wychował, uczyła go wznosić oczy ku gwiazdom, filozofia, na której się kształcił, mówiła mu o wszechpotędze ducha i woli, o panowaniu idei nad faktem. Wierny syn tych doktryn gotów był raczej zdecydować się zbyt pośpiesznie, niż zadługo się namyslać; raczej pójść za widmem zwodniczym, które fantazya jego ubrała w tęczowe barwy poezyi, niż zatrzymać się w wahaniu na rozdrożu.

Płoszowski wychowywał się wśród realizmu, który zabił poezję, odrzucił ideały, a za filozofią swoją obrał uwielbienie faktu, t. j. rzeczywistości. Ta filozofia od lat najmłodszych uczyła go, że ideały są chorobliwą i szkodliwą mrzonką, wola — urojeniem, wielkie cele — śmieszną donkiszoteryą. Zamiast porywać się ku gwiazdom kazała mu zbierać ziarno do ziarka; wskazała rozkosz za jedyne, godny i rozumny cel życia. Jak i na czém mogła się wyrobić ta wola, w którą nie wierzył, której nie miał ku czemu skierować, skoro cele o jakich mu pozwalała myśleć jego filozofia, były tak małostkowe, że dla nich nie warto było chcieć?

Ta filozofia nie przerobiła oczywiście charakteru Płoszowskiego, bo żadna filozofia nie może do gruntu przekształcić człowieka; ale stworzyła ciągły rozbrat pomiędzy wrodzonymi popędami i skłonnościami a rozumem; gdy jedno mówiły „tak", drugi odpowiadał „nie" lub „niewiem"; gdy jedno wołały „chceć", drugi mówił „nie warto."

Ten rozdźwięk sparaliżował w nim ostatecznie wolę, bo czémże jest postanowienie, jak nie zadeklarowaną przez rozum chęcią?

Płoszowski jest naturą wysoce złożoną, jest przytém, jak wspominaliśmy, może za mało typem a za nadto indywiduum (co nie jest bynajmniej zarzutem przeciw jego wartości estetycznej). To téż analizując go, spotykamy w nim jak w każdym żywym człowieku pełno sprzeczności, nie o logicznych tu mówię — bo te wynikają z natury samego typu — ale psychologicznych. Gdy czytamy jego narzekania na filozofią, która uczyniła go nieszczęśliwym, mimowoli zadajemy sobie pytanie: „Czy nie dla tegoś wybrał taką marną filozofię, że i sam jesteś marny?” — bo przecież filozofią sami sobie wytwarzamy, a przynajmniej z rozmaitych wybieramy tę, która najlepiej odpowiada naszym usposobieniom, tak jak dobiéramy sobie odzienie do miary. Ale gdy widzimy jak boleś przygniata tego człowieka, kiedy próbuje wyprężyć się pod tym ciężarem, czujemy w nim siłę atlety ducha i gotowiśmy powtórzyć za nim: „to człowiek, który mógł by wiele zrobić, który ma siły ku temu, brak mu tylko gruntu do oparcia się”, brak mu dogmatu, i to nie dogmatu pozaświatowego, ale dogmatu życia; nie tego, z którego płynie wiara kontemplacyjna, lecz tego który stwarza czyn.

Może być, że inna filozofia zrobiła by Płoszowskiego lepszym. Ale cóż ma robić człowiek jeśli znajduje na rynku tylko takie odzienia, które mu nie pasują do miary? Jeśli sam nie umie uszyć, musi wziąć pierwsze lepsze — i cóż dziwnego, że mu w niém niewygodnie?

Przyjął więc poglądy krążące, chociaż wbrew sobie samemu. Ta filozofia powiedziała mu „nie porywaj się do wielkich rzeczy”, a on nie śmiał zaprzeczyć; zasłoniła mu dalsze widoki, a on nie miał siły zerdrzeć téj zasłony — i oto „jak ptak raniony wlecze skrzydło po ziemi”...

Ale czy ta filozofia uczyniła go jałowym sybarytą życia? Czy ona zabiła w nim twórczość?

Tu już nie polemizujemy z Płoszowskim lecz z Sienkiewiczem. Autor powieści usiłując przedstawić brak dogmatu jako źródło jałowości duchowej, potrafił o niezmiernie głębokie zagadnienie psychologiczne, zagadnienie stosunku wartości moralnej jednostki do jój twórczości umyslowej.

Tam gdzie jest żywotność, gdzie jest siła uczuć, tam dogmaty powstają same przez się i zupełnie nieświadomie, ci zaś, którzy najwięcej deklamują przeciw dogmatom, mają zwykle swoje wcale nie chwiejne. A jeśli nawet krytyka z całym arsenałem wiedzy rzeczywistój lub urojonój uzbraja się przeciwko owym dogmatom, to człowiek niepozbawiony twórczości, potrafi wystawić argumenta przeciw argu-

mentom i bądź co bądź obronić tę twierdzę, która jest żywotnem źródłem jego istoty.

Gdyby Płoszowski był, nie mówię już geniuszem, ale tym człowiekiem obdarzonym pewnymi zasobami twórczości w dziedzinie teoretycznej lub inicyatywy w zakresie praktyki, nie byłby się zatrzymał w pół drogi analizy i krytyki. Na miejscu rozbitej filozofii znalazłby nową, swoją własną; zamiast zniszczonych dogmatów, znalazłby nowe, nie troszcząc się o konsekwencję i o małości logiczne, a poszedłby pewnym krokiem raz obraną drogą. Ale nie ma w nim tego. W żadnym zakresie nie jest on nowatorem, wzbijającym się nad swój wick, ukazującym nowe drogi. Jest on tylko zwierciadłem, niezmiernie wrażliwem, odbijającym i skupiającem wszystkie światła i błędne ogniki swego czasu. Dlatego musi przyjąć to życie, na które się jednak nie zgadza — bo jako jednostka typowa, posiada wyrafinowaną uczuciowość i wrażliwość na brzydotę moralną.

I czy *ta* filozofia, na której się kształcił Płoszowski, koniecznie już prowadzi do bezdogmatycznego hamletyzmu?

Wprawdzie wiedza nie może dać żadnych haseł do czynu, bo jej twierdzenia są zawsze względne i warunkowe, nigdy nie rozkazujące; czyn zaś spoczywa na rozkazie. Przeciwnie, sama wiara w wiedzę, spoczywa już na pewnym rozkazniku, który razem z Feuerbachem moglibyśmy sformułować tak: „Zadawalniaj się światem danym!”

Takim był dogmat pozytywizmu filozoficznego i dogmat ten ma pewną świeżość i żywotność, może służyć za podstawę dla szeroko-humanitarnego rozwoju, czego najlepszym dowodem kult ludzkości u Comte’a i wiara filozoficzna Feuerbacha, którą sam on najchętniej charakteryzował, mówiąc:

„Bóg był moją pierwszą myślą, rozum drugą, człowiek trzecią i ostatnią.”

Ale Płoszowski nie jest pozytywistą; jest on tylko utworem wyrosłym na gruncie pozytywizmu i to nie filozoficznego, szeroko pojmującego swoje zadanie, usuwającego problemata, przewyższające rozum ludzki i pozaświatowe na to, aby całą siłę myśli skupić na praktycznych i żywotnych, ale tego brukowego pozytywizmu, który był zlepkiem reakcyi politycznej z niewiarą filozoficzną, braku ideałów w sztuce, z płaszczeniem się przed faktem w życiu, dogmatyką użyteczności i interesu w dziedzinie moralnej i mieszczańską filozofią współzawodnictwa na polu społecznem.

Bardzo trafnie zestawia p. Bogusławski w swoim rozbiorze powieści Sienkiewicza trzy typy wyprowadzone przez tegoż pisarza w rozmaitych okresach jego twórczości: młodego studenta entuzyastę

wiedzy z „Hani”, doktora Józwowicza z dramatu „Na jedną kartę” i „Płoszowskiego.” Każdy z nich istotnie odpowiada pewnej fazie rozwoju u nas pozytywizmu, jako poglądu na świat, ale czy można uważać te trzy postaci, jako trzy fazy rozwoju jednego i tegoż samego typu, a może osobnika?

Student z „Hani”, ów spartanin w dziurawym płaszczu, napewno nie został ani Józwowiczem ani Płoszowskim, chociaż niezawodnie zmienił się z biegiem lat: wkrótce musiał dostrzedz, że jeśli miłość dla kobiety nie jest w stanie wypełnić i wyczerpać całego życia, to znajdzie się jednak przedmiot godniejszy jego młodzieńczych zapalów, niż przewód pokarmowy wymoczka, a tym przedmiotem jest miłość szersza, miłość „wogóle.” Dziś może wiatr stepowy pędzi śnieżne wichry nad jego daleką, nieznaną mogiłą, a pamięć o nim przechowała się zaledwie w sercu kilku przyjaciół.

Józwowicz, już będąc studentem, miał zapewne najlepiej płatne korepetycje, ubierał się starannie i ukrywał pod rękawiczką swoje chłopskie ręce; Płoszowski uciekał ze szkoły, polując jedynie na wrażenia; obojętny na ideę, równie gotów był ich szukać w dziewiczych lasach Ameryki lub w obozie Karlistów.

Ten ostatni odpowiada rzeczywiście upadkowi i rozkładowi filozofii, której pierwszych, pełnych wiary i entuzjazmu początków wyrazicielem był ów student. Ale cóż spowodowało taki rozkład i upadek?

„Coś się stało takiego, że to wszystko — literatura, sztuka, cała cywilizacya — nie tkwi w samej miazdze życia, ale się z niego wydziela, odrywa i tworzy osobne koła, a wskutek tego i samo w sobie więdnie i nie wpływa na złagodzenie zwierzęcości tych milionów ludzkich, które się kłębią pod nami.”

W tych przypadkowo i od niechcenia rzuconych przez Płoszowskiego wyrazach, tkwi klucz do zagadnienia psychologii jego, jako typu. Oderwał się on od życia, utracił pod sobą grunt i czuje niemoc swoją, bo nie ma o co się oprzeć.

Starożytny mýt o owym Tytanie, synu ziemi, który dopóty jest silny i niezwalezony, dopóki spoczywa na jój piersi, da się najzupełniej zastosować i do świata moralnego.

Ludzie w położeniu Płoszowskiego podobni są do wybujałych kwiatów, które utraciwszy związek z gruntem życiodajnym więdną bezużytecznie. Ten rozdźwięk pomiędzy masą a inteligencyą, to oderwanie się téj ostatniej jest przyczyną jój jałowości, wyczerpania żywotnych sił, téj anemii duchowej, która powoduje i zanik dogmatów. Gdzie uczucia są silne i głębokie, dogmaty istnieją nieświadomie;

człowiek ich nie spostrzega, jak nie czuje obecności zdrowej ręki. Trzeba je stracić, aby uczuć ich brak.

A jeśli te naturalne i instynktowe podwaliny, na których one spoczywają, utracą żywotność swoją, jeśli analiza rozumowa rozłoży doszczętnie naiwne wierzenia nie badawczego umysłu, to w zdrowém społeczeństwie zastąpi je nowemi myśl twórcza geniuszów. Ale tam, gdzie geniusze odwrócili się od żywych zagadnień dziejów dla bujania w mglistych błękitach sybarytyzmu duchowego lub egoistycznie zakochani w swoich mrzonkach, potępił i zaprzeczył prawa bytu tym zagadnieniom żywotnym, tam cywilizacya stając w pół drogi swego dzieła, nie uzupełniając analizy syntezą, rozkładu stworzeniem czegoś nowego, wytwarza typ wcielający niemoc duchową, świadomą swojej niemocy; poczucie braku podstaw do życia, połączone z niemożnością jego wypełnienia.

Filozofia, której hołduje Płoszowski, wprowadzie wielce przyczynia się do zniszczenia tych dogmatów i sprawia, że ta oderwana od życia mas postać spada z wyżyn, na których stoi bohater Nieboskiej komedyi, na niziny bezdogmatyzmu, ale nie ona jest jego wyłączną przyczyną; jest tylko ułamkiem całokształtu warunków cywilizacyjnych wydających podobny typ, a nawet przeciwnie, jest poczęści ich wynikiem, jeśli nie w osobie Płoszowskiego, to w tej klasie, do której on należy. I tu widzimy, jak mszczą się dzieje na osobnikowém życiu jednostki za zaniedbane przez jęj klasę obowiązki społeczne.

Płoszowski również jak i Manfred, jak hr. Henryk i Ugo, pozbawiony jest zupełnie tego idealizmu moralnego, który każe szukać zapomnienia własnych cierpień w myśli o ludzkości, który ścieśniając swoje *ja* do rozmiarów punktu matematycznego, sprowadza do nieskończenie małej wielkości cierpienia osobiste wobec ogromu niedoli całej ludzkości, wobec olbrzymiego zadania ulżenia tej niedoli; idealizmu, połączonego ze zdolnością uogólnienia, która na każdy cios bolesny życia reaguje myślą: Jak zrobić, ażeby innych ochronić od podobnego?

Taki idealizm byłby go uchronił od owęj obojętności woli, cechującej całe jego postępowanie, a gdyby się nawet już znalazł w tém tragiczném położeniu, w jakim go znajdujemy na początku drugiego tomu, — wskazałby mu wyjście z niego, kierując wszystkie zasoby ducha, całą moc uczucia ku pracy dla ogółu i w ten sposób wypełniając pustkę, którą zostawiła w duszy stracona nadzieja szczęścia w miłości indywidualnej.

Egoizm więc, ciasny egoizm, owo skupienie całego życia na swém maluczkiem *ja*, rozdymanie tego *ja*, w owęj niby to chorobie ana-

lizy, która w rzeczywistości jest Narceyzowskiem pozowaniem przed sobą samym, rozdymanie do tak potwornych rozmiarów, że w końcu wszystko ruguje się z duszy prócz pragnienia dogodzenia owemu *ja*, to wyrafinowane przez wszystkie środki cywilizacyi, kultury, zamożności, samolubstwo jest bezpośredniem źródłem braku dogmatów a pośrednią przyczyną braku woli, sprowadzającego tragiczne położenie Płoszowskiego. Egoizm klasowy — jako członka inteligencji, zapominającej o obowiązkach swoich i egoizm osobowy, jako jednostki. Jest to ten sam arystokratyzm ducha, który był źródłem tragizmu Manfreda i hr. Henryka. Tylko ci dwaj pojmwali go szlachetniej: pierwszy szukał czegoś i nie znalazł, porywał się ku wyżynom i gotów był uszczęśliwić ludzkość po drodze, byleby ten czyn stał się podnóżkiem jego wielkości, ale uszczęśliwiając nawet, czułby, „że jego ścieżki nie są ścieżkami tłumu.” Drugi stanął w obronie tego, co minęło, nie poznał idei postępowej wieku — ale chociaż arystokrata ducha, również wzbijający się nad masę, walczył i zginął za to, czego bronił wbrew przekonaniu. Płoszowski nie walczy, nie działa, nie ma żadnych idei wyższych, nie wie o niczem na świecie, tylko patrzy w siebie samego i wylewa potoki słów z powodu każdego szpilkowego ukłucia, które dostaje z zewnątrz.

I jakaż kolosalna różnica w zachowaniu się wobec narzuconych przez społeczeństwo powijkaków ze strony tamtych bohaterów a Płoszowskiego! Jaka uległość tego ostatniego względem despotyzmu przyjętych zwyczajów i przepisów towarzyskich!

Burząc w myśli wszystkie zasady moralne, rozkładając swoim sceptycyzmem wszystkie ideały, on — jako prawdziwy dekadent, z pokorą uchyla się przed konwencyonalizmem wymagań dobrego tonu i ani myśli łamać się z wymaganiami przyjętej etyki.

„Com ja się narozmyślał, ilem natworzył teoryi, ilem nawyciskał mózgu, by sobie dowieść, że miłość jest większą siłą od ślubnych kontraktów, że ja mam prawo kochać Anielkę, a ona mnie — i teraz — ja będę mieszkał z mojami teoryjami, a Kromicki z Anielką.”

Bo też Hamlecik XIX wieku nosi swój dramat „pod koszulą”, bojąc się nawet zdradzić ze swoją miłością, że już ani wspomnieć o walce w jej imię. Bohaterowie Byrona, gdy społeczeństwo obrażało ich poczucie sprawiedliwości, świadomi swęj potężnej indywidualności, rzucali mu rękawiczkę, wypowiadali wojnę, zostawali korsarzami, gjaurami; ale Płoszowski jest zbyt dobrze wychowanym młodzieńcem, aby w czémkolwiek, prócz pamiętnika, zdradzić się z oburzeniem swoim.

Z tém wszystkiem Płoszowski jest doskonalszy od różnych mane-

kinów bez dogmatu o całą wyższość Sienkiewicza nad tymi powieściopisarzami, którzy próbowali sił swoich nad pokrewnymi typami, a wyższość ta polega na tém, że jest żywym człowiekiem, nie zaś abstrakcją, że będąc typem, jest zarazem i osobą.

Jako osobnik, Płoszowski urosł w takich warunkach, które przyczyniły się do uszlachetnienia wielu niemiłych rysów i do uczynienia go interesującym, jako bohatera powieści. Próżniacze wychowanie arystokratyczne potęguje w nim wprawdzie niektóre niemiłe rysy; brak zajęcia doprowadza prawie do obłędu, skłonność bawienia się swoją drobną osobką, swojemi namiętnostkami, którą to zabawę pompatycznie nazywa analizowaniem siebie, a egoizm, do rozwinięcia którego znacznie przyczynia się takie wychowanie, nie hamowany żadnemi zasadami, urasta do kolosalnej wielkości. Z tém wszystkiém Płoszowski jest estetykiem — nie czystym wprawdzie, ale więcej pseudo-estetykiem — niemniej ta estetyczność chroni go często od złego. „Ta estetyczna wrażliwość daje mi tyle samo uciech, ile przykrości, ale wyświadczała i wyświadcza mi ona jedną wielką przysługę, mianowicie chroni od cynizmu, czyli od ostatecznego zepsucia i zastępuje mi poniekąd zasady moralne. Nie popełniłbym wielu uczynków nie tyle może dlatego, że są złe, ile dlatego, że są szpetne. Z moich estetycznych nerwów płynie także delikatność uczuć.”

Wszystko to nietylko wypowiada Płoszowski, ale i stwierdza postępowaniem. Wprawdzie ta estetyczność nie posuwa się tak daleko, aby go wstrzymać od cynicznego związku z Davisową, daje mu jednak uczuć całą jego ohydę, odpycha go od niej, każe mu ją oczerniać w swoim dzienniku, pomimo całej dobroci, którą mu okazuje po śmierci ojca, a gdy stara się przed sobą samym okryć ten stosunek jakąś osłoną klasyczności i zrobić z tej Cyrcy nowożytną kapłankę kultu piękna, to w tém objawia się jedynie tylko sofisterya dekadentyzmu nieucująca wartości moralne na pseudo-estetyczne. W rzeczywistości tylko odczuwamy większy wstręt do tej kobiety z etyką prostytutki, która sprzedaje się dlatego, by się stroić — nie zapominajmy, że nawet ogłada literacka Davisowej jest dla niej tylko strojem — a stroi się dlatego, by się drożej sprzedać. Nie ma tu ani śladu tego greckiego spojenia miłości fizycznej z duchową, tej naturalnej harmonii, człowieka biorącego rzeczy prosto, a nie potrzeba mieć żadnych „gotyckich strzelistości” w duszy, ażeby uczuć wstręt do tego „pseudo-klasycyzmu”, ażeby dostrzedz, że w niezém „do bogów” nie byli podobni ci ludzie, lecz tylko „do zwierząt.”

Zniewieściłość charakteru Płoszowskiego wiele też przyczynia się do zlagodzenia szorstkości męskiego typu i do wyrobienia pewnego

rodzaju biernej dobroci, trwającej dopóty, póki interes egoistyczny nie stanie z nią w sprzeczności, dobroci, która tak łatwo godzi się z największym samolubstwem, która bardzo podoba się kobietom i której wcieleniem jest dobroduszny cielak Połaniecki, w późniejszej powieści Sienkiewicza.

Co zaś głównie wyróżnia Płoszowskiego wśród innych bezdogmatyków, to, że dzięki bogactwu, nie potrzebuje on walczyć o byt. Czyni to jego egoizm biernym, tak jak bierną z natury jest jego dobroć. A chociaż myli się naiwny w wielu swoich sądach Śniatyński, mówiąc, że Płoszowskich tylko bankructwo może zamienić na ludzi czynnych, nie ulega wątpliwości, że bogactwo chroni go od wielu konieczności, które możeby wpłynęły dodatnio na jego żywotność, ale napewno spodliłyby charakter. Bogactwo to przyczynia się po części do wyrobienia jednego z sympatycznych rysów Sienkiewiczowskiego bohatera — jego pogardy dla pieniędzy, nietylko w tym znaczeniu, że ich nie ceni i nie przywiązuje do nich wagi — nie byłoby w tym nic dziwnego, ponieważ ma ich w bród — ale że gardzi nimi jako narzędziem, że brzydzi się użyciem ich jako środkiem do swych celów.

Jakże dodatnio odbija ten rys od drugiego typu bezdogmatyków, których jeden okaz odmalował już Sienkiewicz w Józwowiczu, a drugi naszkicował, wprawdzie pobieżnie, ale tak wyraziście w młodym Chwastowskim.

Wystawmy sobie ludzi również pozbawionych dogmatu, ale szukających stanowiska, karyery, użycia, nieposiadających tych skrupułów czułościowych i estetycznych, które są źródłem męki zbyt „złożonej” natury Płoszowskiego, przytém nie zniewieściałych i nie wyzutytych z woli, a otrzymamy przedstawicieli pokolenia rekinów, do którego należy młody Chwastowski; pokolenia, które za hasło sobie obierze dewizę: „pieniądz to potęga!”

Autor „Rodziny Połanieckich” usiłuje, nie bardzo szczęśliwie, jak mi się zdaje, wybrnąć w tej powieści z dylematu, dotąd dlań nierozwiązalnego, dotyczącego młodego pokolenia inteligencji: rekinów z jednej strony, z drugiej — ludzi szlachetnych w gruncie, lecz nieudolnych w życiu. Że zagadnienie to oddawna leży Sienkiewiczowi na sercu, świadczy o tém dramat „Na jedną kartę”, pełen melancholii, wywołanej przeświadczeniem, że piękne i szlachetne musi ustąpić miejsca sprytniejszemu i podlejszemu. W „Bez dogmatu” owo szlachetniejsze utraciło wiele ze swoich dodatnich rysów, a sprytniejsze ukrywa w cieniu wiele niemiłych. Niemniej stosunek zostaje ten sam i Chwastowscy przedstawieni są jako przyszli panowie sytuacji. I pesymizm Płoszowskiego jest w znacznym stopniu wynikiem tego prze-

świadczenia, że ów miły jego sercu świat, pełny gotyckich kaplic, ustąpić musi miejsca pokoleniu rekinów. Z tegoż przekonania płynie jego kokietowanie z młodym Chwastowskim. Imponuje mu ten młodziwiec swoją trzeźwością i realizmem, gdy na nieśmiałe i połowiczne wystąpienie Płoszowskiego w obronie uczucia, odpowiada:

— „Potrzebę uznaję, ale nie chcę jój przyznać więcej miejsca, niż jój się należy. Na każdą potrzebę jest rada.”

Prawda i to, że Płoszowski przez uczucie rozumie tylko jedno — miłość kobiety i to w formie „wiecznego romansu.” Ale nie myślimy, że w obronie jakichś wyższych uczuć potępił tak kategorycznie romans, bądź co bądź szczery Płoszowskiego. Nie, ten sam Chwastowski, lubi używać, ale tylko nie oddając swego serca i również imponuje Płoszowskiemu tém, że „pomimo, iż pracuje jak wół, ma czas na rozmaite wesołe, może zbyt wesołe, stosunki w okolicach „Kaerthner-Strasse”; kiedy drugi braciszek żali się z Baku, że „kobiet tu nie, a przystojnej ani na lekarstwo.”

Apologetą pokolenia rekinów chciał zostać Prus w swojej „Lalce.” W Wokulskim przedstawia on jednego z tych „żywotnych” z domieszką pewnej dozy podfilistrzałego romantyzmu, który zresztą ciągle bawi się w chowanego wobec realistycznych idei wieku. Postać ta jest nie tylko wysoce nienaturalna, ale pomimo wszystkich usiłowań autora do wyśrubowania jój na bohatera (w co uwierzyli niektórzy czytelnicy, a co najdziwniejsza — i czytelniczki) wprost wstrętne. Mamy tu w stosunku do pieniędzy zupełną przeciwstawność Płoszowskiemu: dorabianie się majątku drogą Kromickich, sypanie z czysto dorobkiewiczowską miną złotem dla przypodobania się przedmiotowi miłości, posługiwanie się nim na każdym kroku, jako narzędziem — słowem cały wstrętny cynizm mieszczańskiego hasła: „pieniądz to potęga.”

Literatura nasza nie może się zdobyć na postać, któraby wzniosła się po nad ów dualizm rekinów lub niezdolnych do życia niedołęgów, bo nie umie się otrząść z tego mieszczańskiego hasła, bo nie umie się pozbyć téj myśli, górującej w naszej epoce, że „potrzeba mieć dużo pieniędzy”, ażeby być „czémś.” Pozostaje więc jedno z dwojga: albo dostać te pieniądze bez wszelkich starań, jak Płoszowski — i wtedy przychodzi do tego, że mu powie taki Śniatyński:

— „Z takich, jak ty, już nic nie będzie, ale z twoich dzieci mogą być ludzie; musisz tylko, a raczej musicie wszyscy, pierwój pobankrutować, bo inaczej i wnuki wasze nie wezmą się do żadnej roboty!”

Albo muszą się sami ich dorabiać, tak jak Chwastowscy, Kromiccy, Wokulscy i *tutti quanti*.

Ale wróćmy do naszego typu bezdogmatyka i jego „choroby woli”, ażeby zreasumować etiologię téj choroby, tak jak ona wypada z naszej analizy i przedstawia się w jego dramacie osobistym.

Przyczyną upadku Płoszowskiego jest brak wiary w swoją miłość. Ten brak wiary objawia się w zwątpieniach jego co do możliwości uszczęśliwienia Anielki, w wahanii wobec ojca, w obawie „zatrzaśnięcia kłamki.” Przyczyną niewiary — brak siły i świeżości uczucia, spowodowany głównie przez zblazowanie, a spotęgowany przez skłonność do grzebania się w sobie, właściwą naturom mało energicznym, skłonność, którą chętnie nazywają analizą.

Zdrowe uczucia są jak zdrowe owoce — robak analizy nie może się do nich dostać, aby stoczyć ich wewnątrz. Zarazki napełniające powietrze w większym lub mniejszym stopniu, są źródłem choroby, ale brak odporności organizmu jest jój niezbędnym warunkiem. Dogmata życiowe, które poddały się analizie i uległy wobec téj niegłębskiej filozofii Płoszowskiego, musiały być wątłe i niedołężne same w sobie; nie spoczywały na żadnym silnym i zdrowym uczuciu — przekonaniu.

Czy to znaczy, że filozofia jest obojętną w sprawie wyrobienia tego typu?

Wcale nie. Są organizmy tak zdrowe, że nie ulegają zarazkom nawet w przepełnionej niemi atmosferze; nie uwalnia to jednak lekarzy od obowiązku ścisłej profilaktyki dezynfekcyjnej.

Dla lepszego poparcia swego założenia, Sienkiewicz przeciwstawi „ulepionemu z jałowej gliny” Płoszowskiemu dwóch ludzi czynnych — każdy na swoim polu realnym — o niezachwianych dogmatach: rzeźbiarza Łukomskiego, który myśli liniami i kształtami, a opisując swoją narzeczoną, używa technicznych terminów malarskich, i kome-dyopisarza Śniatyńskiego, wiecznie kręcącego się, zadowolonego z siebie, z żony swojej, z którą stacza ciągłe pojedynki wspaniałomyślności, ze swojej działalności i ze swoich dogmatów życiowych, nad którymi — to jego pierwsza zasada — nie filozofuje wcale.

Pierwszy z nich jest bardzo zacnym człowiekiem, dobrze myślącym i uczciwie czującym; tęskniącym za krajem, do którego jest szczerze przywiązany, ale do takiego stopnia nie widzącym po za swoją gliną i posagami, że gotów stawić Davisowej pomniki za jój kształty.

Drugiego Płoszowski w pamiętniku swoim przedstawia jako bardzo rozumnego i dzielnego, ale w tym samym pamiętniku jest kilka subtelnych rysów, coś prawie niepochwytne, co pomimo mądrych i zacnych, jakby wziętych z książki zasad, które wygłasza Śniatyński, pomimo pochwał dlań Płoszowskiego silnie osłabia w czytelniku wrażenie tych pochwał. Nie ulega też wątpliwości, że to osłabienie wra-

żenia było potrzebne dla autora; świadczy ono o subtelnym poczuciu architektonicznym. Gdyby Śniatyński był jednym z tych, przed którymi Płoszowski musiałby uchylić czoła, postać tegoż zmalowałaby a zasadnicza idea powieści zostałaaby silnie zachwiana.

Co się składa na te rysy? — Rozmaite drobnostki: kilka nietaktowości (jak np. owe „ruszaj w świat” dodane do telegramu odbierającego Płoszowskiemu ostatnią nadzieję na rękę Anielki), jego niezręczne zaglądanie do serca Leona, pobudzające tegoż do przypomnienia sobie sceny z fletem z Hamleta, jego naiwne uwielbienie dla Płoszowskiego, jego katechizmowo-proste zasady — a tak znaczne, że któżby się na nie nie pisał? — wobec których jednak zwątpienia i wahania Płoszowskiego przybierają wygląd czegoś, jeśli nie tytanicznego, to przynajmniej demonicznego.

— „Miłość w znaczeniu ogólnym, miłość w znaczeniu szczegółowym — i wobec tego precz z krytyką! Tak! to są życiowe kanony. Moja filozofia polega na tem, żeby nad nimi nie filozofować — i niech mnie licho porwie, jeśli się z tego powodu uważam za głupszego od innych. Z tem życie jest coś warte; bez tego nie warte torby sieczki.”

Takie jest wyznanie wiary Śniatyńskiego. Owo jednak nie filozofowanie nad swojemi dogmatami, pomimo całej praktyczności zasady, zanadto przypomina człowieka, który dobrowolnie zamyka oczy, a gdy Płoszowski zadaje sobie pytanie, kto z nich głupszy czy Śniatyński, czy on, to mimowoli przyznajemy, że jeśli nie jest mędrszy w zwykłym znaczeniu, to ma w sobie pewną głębię ducha, której pozbawiony jest Śniatyński.

Wogóle Śniatyński bardzo przypomina ową figurę uczciwego i przekonanego sekretarza redakcyi z dramatu „Na jedną kartę”, który staje się narzędziem w ręku Józwowicza. Tylko tam było poczucie swojej drugorzędnej roli, czego u Śniatyńskiego nie ma.

W każdym razie zestawienie Płoszowskiego ze Śniatyńskim nie jest przekonujące: pierwszy nie dlatego jest mniej czynny od drugiego, że ma umysł głębszy, ani też dlatego mniej moralny, że estetyczniej pojmuje świat i życie.

Dualizm pomiędzy niezachwianemi dogmatami życiowemi a władzą analizy istnieje rzeczywiście, również jak i dualizm pomiędzy estetycznością a moralnością. Żaden z nich jednak nie jest nieprzejednanym. Synteza woli z głębokim i krytycznym umysłem w postaci poetyckiej oczekuje jeszcze na swego twórcę; do syntezy estetyczności w życiu z poważnym pojmowaniem i pełnieniem obowiązku społecznego dała wiele materiału przygotowawczego p. Orzeszkowa w powieściach z ostatnich kilku lat, przeprowadzając głęboką i subtelną

analizę i przeciwstawność tych dwóch poglądów na życie: jednego opartego na kaprysie estetycznym lub nie, drugiego — na poczuciu surowego i bezwzględnego obowiązku.

Blizsze rozejrzenie się wśród tych typów, stanowiące niejako uzupełnienie tego zagadnienia psychologii społecznej, którą roztacza przed nami powieść „Bez Dogmatu” mam nadzieję uczynić przedmiotem jednego z najbliższych studyów.



Inw. N= 3140.



50485/

12